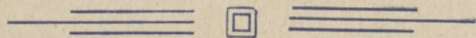
1951 – Nr VIII





POD OPIEKĄ ŚW. JÓZEFA

Ważne ogłoszenie

Z polecenia Państwowego Przedsiębiorstwa Kolportażu „Ruch" przypominamy P. T. Odbiorcom pisma „Pod opieką św. Józefa", iż opłatę za pobieranie pisma należy uiszczać zawsze zgóry w terminie do dnia 20-go w miesiącu poprzedzającym ukazanie się pisma. Niezapłacenie prenumeraty na czas powoduje automatycznie przerwę w dostawie pisma. Dlatego w interesie P. T. Prenumeratorów leży, aby pamiętali, na jaki okres uiścili opłatę i na czas odnawiali prenumeratę.

Wpłaty należy kierować:

Państwowe Przedsiębiorstwo Kolportażu „Ruch" P. K. O. Kraków — Dział Prenumeraty Pocztowej, Wydawnictwo Religijne i Naukowe

Nr IV-9451/110

Zaznaczając na odwrocie czeku: Na **„Pod opieką św. Józefa"**.

Również pobierającym miesięcznik do dalszej sprzedaży (tj. komisantom) zwraca się uwagę, aby należność bezwzględnie płacili do miesiąca od daty otrzymania miesięcznika. Niezapłacenie powoduje wstrzymanie dalszej dostawy pisma.

Reklamacje w sprawach dostawy pisma kierować na adres:

Państwowe Przedsiębiorstwo Kolportażu „Ruch"

Kraków, ul. Lubicz 42

POD OPIEKĄ ŚW. JÓZEFA

Rok VI 1951 Nr 8

WZÓR NĄDZIEI

W życiu zdarza się wiele nieszczęść. Na każdym kroku spotykają nas krzyże, zawody, nieraz ledwo zdołamy podnieść ciężar, który spoczął na naszych barkach. Ból do tego stopnia wżera się w serce, że mimo woli budzi się w człowieku niechęć do życia. Są jednak ludzie, którzy idą z radością przez życie, choć ono po brzegi wypełnione goryczą. — Są ludzie, którzy pomimo własnych utrapień zapominają o sobie, a niosą radość i pomoc bliźnim. Że tak jest, nie potrzeba tego bynajmniej dowodzić, wystarczy uważnie przypatrzeć się życiu, by spostrzec to różne zachowanie się ludzi w podobnych okolicznościach.

Wobec tego faktu nasuwa się pytanie: skąd ta różnica? W czym tkwi przyczyna, że jedni ludzie, nie bojąc się przeciwności, idą w życie z zapałem, wytrwale; podczas gdy inni za pierwszym uderzeniem gromu opuszczają na długo drogę szlachetności i męstwa? Odpowiedź na to pytanie streszcza się w jednym słowie: w n a d z i e i. Tak, nadzieja jest tym źródłem, w którym słabi czerpią siły i młodość ducha, by wciąż z tym samym zapałem dążyć do celu. Gdy jej zabraknie, życie staje się obmierzłe i jakby okute w kajdany.

Z kolei wypada się zastanowić czym w istocie jest owa nadzieja. Nauka katolicka uczy nas, że nadzeja, jako cnota teologiczna czyli Boska — bo o takiej tu mowa — j e s t c n o t ą w l a n ą, d z i ę k i k t ó r e j o c z e k u j e m y od B o g a z p e w n o ś c i ą, w i e c z n e g o z b a w i e n i a i ś r o d k ó w d o n i e g o p o t r z e b n y c h. Zbawieniem naszym czyli naszą szczęśliwością jest Bóg sam. On jeden tylko może nas uszczęślwić, On jeden sobą samym może zaspokoić nasze pragnienia, bo jak powiada św. Augustyn: niespokojne jest serce nasze, póki w Nim nie spocznie. I właśnie dlatego nadzieja nazywa się cnotą Boską, że Bóg jest tym dobrem, które spodziewamy się osiągnąć. Ludzie zawodzą się w swoich nadziejach. Powodem tych zawodów nie jest nic in-

nego, jak to, że nadzieje swe kierują nie ku Bogu, lecz ku stworzeniom. Bóg tylko nie zawodzi; stworzenia nawet mimo najlepszej chęci nie mogą spełnić naszych nadziei.

Lecz Bóg może być przedmiotem naszych nadziei jeszcze w innym sensie. Bóg — to dobro, które nieskończenie przewyższa nasz umysł, nasze pragnienia i siły. By Go móc poznać, potrzeba nam nadprzyrodzonego światła wiary, które On sam daje. By Go móc pragnąć, potrzeba jego obietnicy, że Go możemy posiąść. By Go móc posiąść, potrzeba nam Jego łaski, która podnosi nasze nikłe siły na wyżyny życia nadprzyrodzonego, która nas wyposaża w moc iście Boską. Stąd widać (jak to zresztą wynika z samego określenia nadziei) że przez tę cnotę nie tylko spodziewamy się Boga samego, lecz także i Jego darów, bez których nie moglibyśmy osiągnąć wiecznej szczęśliwości. Dary, których się spodziewamy jedne są nadprzyrodzone i służą wprost do osiągnięcia zbawienia (łaska, dary Ducha św. itd.); inne służą nam w potrzebach doczesnych. Jedne i drugie stanowią przedmiot nadziei, ponieważ Bóg udzielając nam darów doczesnych daje je w tym celu, abyśmy korzystali z nich ku zbawieniu duszy. Ufne oczekiwanie od Boga tych darów przynosi radość życia, koi bóle, wzmacnia siły do znoszenia ciężarów.

Znaczenie, jakie nadzieja posiada dla życia nadprzyrodzonego jest nieocenione. Przede wszystkim uczy szacunku dla Boga, oraz zaszczepia bojaźń, by Go nie stracić na wieki. Kiedy ojciec obiecał dać dziecku po pewnym czasie zegarek, dziecko to zaczyna się tym zegarkem interesować. Uczy się bardzo prędko rozpoznawać godziny, zapoznaje się ze sposobem nakręcania, wychwala przed swymi rówieśnikami wartość tego zegarka, pilnuje go by się przypadkowo nie popsuł, lub nie zginął. W każdym „podejrzanym" człowieku węszy złodzieja, który czyha na obiecany zegarek. Oto co działa obietnica!

Nam również obiecał Bóg — nasz Ojciec Najlepszy, że otrzymamy, ale już nie jakąś rzecz, lecz Jego samego. Dlatego byłoby bardzo wskazanym i całkowicie naturalnym poznać Jego wartość, strzec Go pilnie w swej duszy. Zastanawiając się jednak nad sobą zauważymy, że najczęściej brak nam należytej zapobiegliwości około spraw bożych. Powodem tego jest zbyt mało rozwinięta cnota nadziei.

* * *

Prawie dwa tysiące lat temu żył w palestynie ubogi cieśla — prawdziwy wzór nadziei. W jego dziejach znajdujemy bardzo wiele momentów jakby żywcem wyjętych z naszego życia. To samo borykanie się z trudnościami **życiowymi. Obija się o niego ta sama krzywda i duma,** z jaką i w naszych czasach bogaci zwykli się odnosić do biednych wyrobników. Mozolna praca, przymusowa tułaczka, owiane modlitwą — to wszystko czym było wypełnione życie św. Józefa. Nie brakowało mu

cierpień i krzyżów. Nie znajdziesz jednak u niego ani cienia zniechęcenia lub rozpaczy, jak również zarozumiałej dufności. Wszystkie pragnienia skierowane do Boga, we wszystkich uciskach do Niego zwraca się święty cieśla o pomoc, a kiedy ją otrzymuje nie unosi się zarozumiałością, lecz sługą niepożytecznym mieni się w pokorze. Życie jego skrzy się promieniami wewnętrznej radości wypływającej z szeroko i bujnie rozrosłej nadziei i ufności ku Bogu.

W historii narodu żydowskiego nadzieja odgrywała główną rolę, ponieważ Bóg obiecał dać Izraelowi Mesjasza, czyli wybawiciela spod panowania grzechu i szatana. Szczególnie nadzieja ta kwitła wśród potomków Dawidowych, bo według przepowiedni proroków spośród nich miał wyjść upragniony Odkupiciel. U większości jednak nadzieje dotyczące Mesjasza zostały wypaczone i zeszły na manowce. Oczekiwano potężnego polityka i wodza, który wywrze zemstę nad znienawidzonymi Rzymianami. Lecz nie brakło i takich, którzy dzieło odkupienia rozumieli we właściwym sensie. Przykładem: Symeon, Anna Prorokini, Elżbieta, św. Jan Chrzciciel. Do nich należał również i św. Józef, a nadzieja jego była tym silniejsza, że pochodził właśnie z rodu Dawida.

Jako nieletni młodzieniec, z świętych kart Biblii nauczył się, że Jahwe (Bóg) jest dobry, miłosierny, że ześle światu zbawienie. Tą nadzieją powodowany, jako dojrzały mężczyzna, godzi się na zaślubiny z Najśw. Panną. Nie widzi w tym przeszkody dla swego dziewictwa, ponieważ wie, że według proroka, Mesjasz narodzi się z Dziewicy. — Z nadziei zaczerpnął sił, kiedy na rozkaz anioła, przyjął Maryję w dom swój, a potrzebował ich wiele, bo przyjmował obowiązek niezwykle odpowiedzialny. Imię — Jezus czyli Bóg zbawieniem — jakie miał nadać Dziecięciu pogłębiło jeszcze bardziej to przekonanie, które wyniósł z Pisma św. o zbawczych zamiarach Boga. Nadzieją ożywiał wszystkie zabiegi około utrzymania Jezusa i Maryi. Ona go dźwigała gdy upadał ze zmęczenia, gdy krople potu osiadły na zradlonym trudami czole. Obietnice biblijne upewniały go, że osiągnie wieczne szczęście, którym jest Bóg.

Z drugiej strony w każdym doświadczeniu widział środek do uświęcenia, w każdym nowym cierpieniu rozpoznawał okiem wiary owo niezawodne lekarstwo wzmacniające siły człowieka do czynów nadprzyrodzonych. W potrzebach doczesnych również zdał się całkowicie na opiekę nieba. Zapewne powtarzał sobie w głębi duszy: Boże, któryś na mnie niegodnego zlał część ojcowstwa nad Synem Twym Najmilszym, któryś Go zwierzył mojej kruchej i słabej pieczy, racz również zlać na mnie potrzebne łaski i siły do godnego spełnienia mych obowiązków. Ta głęboka ufność ku Bogu, tak w potrzebach doczesnych jak i duchowych, przebija sę wyraźnie we wszystkich zdarzeniach jego życia. Gdy nie może przeniknąć tajemnicy Wcielenia, niebu zwierza jej rozwiązanie.

Gdy brak gospody, chroni się z ufnością do stajenki; gdy nie ma środków na uciążliwą podróż, zdaje się na Boga i ucieka posłusznie do Egiptu. Od Niego wyczekuje natchnienia przy wyborze bezpiecznego miejsca zamieszkania. Pod wpływem nadziei umiał należycie ocenić, jakie znaczenie dla naszego zbawienia posiada przyjście Jezusa na ziemię. Dlatego tak pilną otoczył Go opieką, dlatego ból palił jego serce, gdy Jezus pozostał w świątyni, bo sobie przypisywał winę utraty tego najdroższego skarbu.

Życie nasze jest nadzwyczaj zmienne. Jakżeż łatwo przechodzimy od zapału w ospałość i gnuśność? Jakżeż często dufność we własne siły po jednym nieszczęściu zmienia się w pełną goryczy rozpacz? — Ileż szkody przynosi dla społeczeństwa bierne i jakby ociężałe nastawienie do życia? Ileż to sił marnuje się bezpożytecznie, które mogłyby być doskonale wyzyskane do poprawy bytu i ku pomnożeniu radości bliźnich, gdyby... gdyby nas ożywiała nadzieja chrześcijańska. Spójrzmy więc w chwilach gdy nas ogarnia rozpacz i zniechęcenie na tę pełną nadziei postać św. Józefa. Jego przykład odświeży siły. Pod jego kierownictwem odzyskamy zagubioną dziecięcą ufność w Bogu, która tak bardzo ułatwia życie.

Karmelita Bosy

GRZECH I CHOROBLIWOŚĆ

Jednym z najniebezpieczniejszych zjawisk powojennych jest negacja winy osobistej i lekceważenie odpowiedzialności osobistej za winę. Usprawiedliwia się to lekceważenie dwojako:

1. Przez opinię, że człowiek jest tylko zwierzęciem,
2. przez nazywanie świadomości winy — kompleksem

Dawniej wykręcano się czynnikami zewnętrznymi: środowisko itd. Obecnie składa się wszystko na „nieświadome", jako na tę cząstkę człowieka, która nie może być odpowiedzialna.

Jak się rzecz ma naprawdę? Człowiek może podlegać zaburzeniom przez kompleks nie mający przyczyny moralnej — i tu medycyna z psychoanalizą mają szerokie pole działania. Ale chodzi mi o metody przeczące wszelkiej odpowiedzialności moralnej, i o wmawianie, że poczucie winy jest tylko chorobliwym kompleksem.

Rzeczywistość jest przeciwna: właśnie dlatego wzrasta liczba zaburzeń umysłowych, że wielu zwalnia się od winy.

Współczesny faryzeusz wychowany na psychoanalizie tak się modli: „Dziękuję Ci Panie Boże, żem się dowiedział od psychoanalityka, że żadna wina



Żródło niewyczerpane na obmycie dusz naszych

nie istnieje, że grzech jest mitem, a Ty Ojcze jesteś tylko projekcją mojego kompleksu ojcowskiego. Może jest coś nie w porządku z moimi instynktami, ale nie z moją duszą. Daję składkę na Towarzystwo Walki z Zabobonami i raz w tygodniu poszczę dla utrzymania linii. Dziękuję Ci, że nie jestem jak ci ludzie co uważają się za grzesznych i odczuwają potrzebę łaski.

Tymczasem, tam gdzieś w kąciku celnik mówi jak za czasów Chrystusa: Boże bądź miłościw mnie grzesznemu. Chrystus powiedział kto wrócił usprawiedliwiony.

Z negacji winy osobistej płyną fatalne skutki: jeśli ślepy przeczy swej ślepocie, jak można go leczyć? Im dalej ktoś brnie w zło, tym mniej ma jego świadomości. Zło wchodzi w krew, w nerwy, w mózg, umysł, nawyki. Katarakta przesłania widzenie, zło zaciemnia umysł, osłabia wolę i żłobi koleiny prowadzące do dalszego zła. Każde następne zło zmniejsza alarmy sumienia i wywołuje coraz większe ignorowanie prawa. Działa nieraz jak rak; gdy się ujawni — nadzieja uleczenia już niewielka. Trzeba pamiętać o tym fatalnym charakterze zła. Zło nieodpokutowane rodzi nowe zło, a zupełne odurzenie rodzi rozpacz: „Gdybym był umarł wcześniej, woła szekspirowski Macbeth, zamknąłbym piękny okres życia. Dziś nie ma już dla mnie nic godnego czci. Wszystko dla mnie blichtrem. Scedzone wino życia, same tylko męty zostały w tym lochu marności".

Rozpacz wywołana złem nieodpokutowanym wywołuje często fanatyzm przeciw wierze i przeciw moralności. Fanatyk nienawidzi wiary i prawa, bo przypominają mu winę. W końcu, tak jak Nietsche zwiększa zło, aby zatrzeć różnicę między dobrem i złem: „Zło, ty bądź moim dobrem"! Wtedy nawet okrucieństwo staje się sprawiedliwością.

W porządku moralnym tak jak i w porządku naturalnym — nie ma bezkarnego łamania prawa. Człowiek jest tak ukształtowany, że gdy wszystko jest w porządku, porządek moralny przeważa nad porządkiem instynktów. Gdy elementy materialne górują nad duchowymi — następuje śmierć, przez św. Pawła zwana grzechem: Bo zapłata grzechu jest śmierć" (Rzym., 6). W porządku psychologicznym — więcej jeszcze niż w materialnym, winowajca jest sobie katem. Wina jest głównym źródłem współczesnej neurozy i narkomanii. Mogą tu być i przyczyny fizyczne: zmiany w mózgu, zakłócenia gruczołów wewnętrznych, uszkodzenia systemu centralnego itd. Abstrachuję od teorii o psychogenetycznych przyczynach schizofrenii, maniactwa — nawet lekarze nie używający terminów moralnych — widzą coraz częściej źródło zamąceń umysłowych i nerwowych w gwałceniu prawa natury, a więc w przyczynach moralnych.

Nie ma też podstawy teoria, że moralność jest tylko określona kodeksem społecznym. Do pewnego stopnia tak, ale nie całkowicie, bo inaczej skądżeby ludzie wyczuwali zło tam, gdzie w danym okresie „społeczeństwo" uznaje coś za dobre. W złu moralnym jest coś więcej niż dezaprobata społeczna.

Nie jest wreszcie bynajmniej prawdą, że pojmowanie zła jako zła sprowadza kompleks winy lub chorobliwość. A czy chory idący do lekarza ma kompleks choroby? Skupia się on nie na swej chorobie, lecz na inwencji le-

karza. I my skupiamy się nie na swej winie, lecz na mocy opiekuńczej Boskiego Lekarza. Nie ma żadnej przedmiotowej podstawy opinia, że świadomość zła czyni człowieka chorym; jest za to szczytem wyłgiwania się unikanie badania samego siebie, aby nie odkryć winy.

Jest jedna krótka droga do poznania zła winy moralnej. Tak jak pijak poznaje zło pijaństwa z krzywdy wyrządzonej najbliższym, tak można poznać zło moralne z jednego uczciwego spojrzenia na Krzyż.

Wiemy jakim miłosierdziem darzył Chrystus grzeszników i wiemy, że Szaweł szedł do Chrystusa przez nienawiść. Syn marnotrawny wyprzedził brata cnotliwego, zgubiona owca znalazła się na ramionach Dobrego Pasterza, gdy 99 zostało w polu. Chrystus chroni przed ukamienowaniem jawnogrzesznicę. Wieść o Wcieleniu powierzono Dziewicy, lecz wieść o Zmartwychwstaniu — nawróconej Magdalenie. Ponieważ Chrystus wolał ludzi „niegrzecznych" ale przyznających się do winy, niż grzecznych faryzeuszów, prawdopodobnie w niebie będziemy zgorszeni niejednym spotkaniem. Powiemy: „No, no, a jak on tu wszedł?" albo: „Jak ona się tu dostała?" widziałem jak ona... itd.

Będzie w niebie wielu takich, których się tam nie spodziewaliśmy. Niespodzianki będą liczne. Lecz największa ze wszystkich będzie ta, że my tam będziemy... Pokora nas tam zawiedzie.

Poczucie nędzy moralnej nikogo nie złamało, ale wielu zawiodło się przez miłość własną. Im większa świadomość nędzy, tym większa ufność w miłosierdzie Boże, a więc tym pewniejsze wyzwolenie. Kto upadł jest człowiekiem; kto żałuje może być świętym; kto chełpi się złem lub zasłania się kompleksami — może być diabłem. Ludzką rzeczą jest upaść, czarcią w złym trwać, Chrystusową za grzechy żałować, a Boską z grzechu powstać.

KS. DR MARIAN RZESZEWSKI

POSTULAT UMARTWIENIA

W życiu Chrystusa jest jedno dzieło szczególne, to jest Jego ofiara. Z nią spotykamy się wcześnie, bo już przez chrzest święty. Ona w nas przechodzi, ona nas obejmuje. Zanurzenie w wodzie chrzcielnej — to dla św. Pawła zstąpienie z Chrystusem do grobu, by z Nim zmartwychwstać do nowego życia. Wtedy to dziecię chrzczone, choć tego nie rozumie, współumiera z Chrystusem. Ale w szczególności przeżywamy ofiarę Chrystusa dobrowolnie i samodzielnie przez umartwienie. Przez nie dostępujemy owocu Odkupienia i stajemy się współodkupicielami świata. W każdej duszy Bogu oddanej istnieje etap, kiedy Bogu wyraża swe oddanie przez dążność do wyniszczenia się. Ale Bóg daje do zrozumienia, że umartwienie to nie jest destrukcja, uśmiercenie. Fałszywe jest też pojęcie umartwienia jako skrępowania i uwięzienia.

W Ofierze Pańskiej znajdujemy sprostowanie tego, jakoby umartwienie było uśmierceniem lub skrępowaniem. Prawda że Jezus pozwolił się skrępować i kroczył Golgotą na śmierć. Ale to nie było istotą Jego ofiary. Św. Tomasz rozważając Odkupienie wskazuje, że Jezus przez miłość nas odkupił. Męka i śmierć były mianem, w którym miłość się wyraziła.

Teologia nie oddziela męki od zmartwychwstania. Męka i uwielbienie to jedna całość ofiary. Sama męka, krzyż, to w ofierze Chrystusowej tylko jeden etap, ogromnego znaczenia, ale to nie etap końcowy. Chrystus poszedł na śmierć by zmartwychwstać. Chrystus mówi o swej męce jako o uwielbieniu (Jan r. XII). Dla Chrystusa męka i uwielbienie to całość. On przyszedł dać ludziom nie śmierć ale życie.

Podobnie jak przez krzyż szedł Chrystus do zmartwychwstania, tak przez skrępowanie do uwolnienia. W dramacie męki Jezus był skrępowany ale nie był niewolnikiem, bo z wolnego wyboru trwał przy swoim posłannictwie. I Chrystus Pan w tej swej decyzji będąc wiernym aż do ostatka, choć skrępowany, był jednak prawdziwie wolny, bo Jego wolność to wierność zasadzie. Dusza Jego pozwala się wieść najwyższym pobudkom. Sanhedryn i żydzi to niewolnicy w tym dramacie, to słudzy racji praktycznej. Faryzeusze to słudzy królestwa Bożego pojętego po ziemsku. Ta koncepcja prowadzi ich do niewoli, idą w czterdzieści lat potem za fałszywym mesjaszem i ulegają niewoli. Do niewoli wiedzie każda pobudka niska, przesąd, egoizm.

Umartwienie nie jest uśmierceniem ale przejściem do życia, nie jest skrępowaniem ale przejściem do wolności. Z pewnością, że czasem przyjmie ono formę skrępowania. Z reguły jednak umartwienie jest dążeniem pozytywnym nie negatywnym. Umartwieniem jest spełnienie każdego obowiązku, zwycięźenie każdej pokusy. Jest ono zjawiskiem ubocznym każdej cnoty. Każdy akt cnoty odrywając duszę od niej samej, zbliża-

jąc ją do nieba, wytwarza ubocznie umorzenie jakiejś złej skłonności. i egoizmu. Umartwienie jest konieczne ale prostsze niż się sądzi zwykle. Żeby się uświęcić trzeba wzrastać w miłości, a to wymaga szeregu cnót, z którymi wiąże się umartwienie. Jest proste — na świecie nieraz podyktowane względem towarzyskim np. wobec nudnych gości. Gdy wchodzimy w życie nadprzyrodzone, to co nas w tym życiu utwierdza i oswabadza z więzów starego człowieka? Oto umartwienie prowadzi nas do wolności.

W hierarchii umartwienia celem uzyskania wolności dzieci Bożych pierwszymi będą nie posty, piołun i włosienica, ale sakramenta, bo umartwienie to proces, który prowadzi do życia, to właściwe uwielbienie. W każdym sakramencie jest moment na umartwienie (moment wyznania i skruchy na spowiedzi, w Komunii, wczesne wstanie, oschłość), ale ponieważ są one źródłem wyzwolenia, dlatego sakramenta stają u szczytu hierarchii umartwień. Potem stoi modlitwa dla trudu i oderwania się od zajęcia, do którego natura ciągnie. Potem idą cnoty boskie. Ufność może być uśmierceniem miłości własnej. Dalej idą cnoty moralne, w życiu osobistym i społecznym: roztropność, sprawiedliwość, męstwo, wstrzemięźliwość.

Między życiem duszy i ciała musi być harmonia, więc i wewnętrzne umartwienie ma swe doniosłe znaczenie. Jak w liturgii gest, jest wyrazem naszego odnoszenia się do Boga, tak umartwienie zewnętrzne ma godność wielką udziału w Męce Pańskiej, ale jego miejsce jest ostatnie.

Najbardziej wartościowe to nie umartwienie nasze, ale zesłane nam przez Opatrzność Bożą. Dlatego stygmaty otoczone są w Kościele czcią, nie tylko jako znak zjednoczenia z Chrystusem ale jako środek zjednoczenia — cierpienie przyjęte.

Przyjęcie ofiary Pańskiej przez umartwienie jest nie uśmierceniem, ale dążnością do pełniejszego życia łaski, do wolności wewnętrznej przez praktykę cnót z pobudki współżycia z Chrystusem. Poczynając od uległości Jemu co do zamysłów, kończąc na harmonii naszego jestestwa mędzy duszą a ciałem. Umartwienie to współcierpienie z Chrystusem, aż do współuwielbienia z Nim.

Ks. A. B.

NAUCZCIE SIĘ KOCHAĆ SIEBIE, NIE KOCHAJĄC SAMYCH SIEBIE

ŚW. AUGUSTYN, SERMO 96.

BŁ. MARIA DESOLATA TORRES ACOSTA



Wśród świętych beatyfikowanych lub kanonizowanych w roku jubileuszowym, większość stanowią założyciele lub założycielki zgromadzeń zakonnych. I nic dziwnego. Gdy Bóg chce wzbudzić w kościele nową rodzinę zakonną dla spełnienia pewnej misji w wielkim Jego dziele zbawczym dla dusz wybiera sobie jednostki wybitne, udziela im szczególnych darów przyrodzonych i nadprzyrodzonych, daje im swego ducha, by mogli go wlać w nową fundację i nim ożywić swoją działalność.

Taką właśnie założycielką nowego zgromadzenia w XIX w. była M. Maria Desolata Torres Acosta.

Urodziła się w Madrycie 2 grudnia 1826 r. w rodzinie zacnej, skromnej i ubogiej. Rodzice jej byli wzorem szczerej pobożności, prawości charakteru i pracowitości, a ta ostatnia zaleta rzadką jest u południowców.

Emanuela, zwana w zdrobnieniu Manuelita, była drugim dzieckiem swoich rodziców. Od wczesnego dzieciństwa zwracała na siebie uwagę wrodzonymi darami umysłu i serca. Szczególne miała zamiłowanie do pielęgnowania chorych, co jej w późniejszym życiu oddało ogromne przysługi. Od młodości z radością i poświęceniem odwiedza chorych po domach, otacza ich troskliwością i pieczą, uczy młode dziewczęta, a wszystko czyni serdecznie, z uśmiechem i niezwykłą intuicją na cudze cierpienia.

Poznawszy w Madrycie klasztor SS Dominikanek zapragnęła doń wstąpić. Pociągał ją szczególnie wizerunek





Matki Bolesnej, do której od dziecka miała nabożeństwo. Gdy Emanuela ujrzała go poraz pierwszy w rozmownicy klasztornej, zdawało się jej, że to znak zesłany z nieba i że tu dla niej miejsce woli Bożej. Wszakże nie było jej przeznaczonym zostać córką św. Dominika. Inne były względem niej zamiary Opatrzności i te wkrótce wyjawione jej zostały.

W Hiszpanii w tym czasie nie było zgromadzeń żeńskich, poświęconych posłudze chorych. O takiej właśnie fundacji myślał proboszcz jednego z ubogich przedmieść Madrytu, Don Michele Martinez. Widząc straszną nędzę panującą wśród mieszkańców stolicy i szerzące się wśród nich choroby, wywołane brakiem higieny i opieki, postanowił stworzyć dzieło poświęcone pielęgnowaniu chorych po domach. Będąc tercjarzem zakonu Serwitów i wielkim czcicielem Matki Boskiej Bolesnej, pragnął zebrać siedem osób, które stałyby się podwaliną nowego zgromadzenia na cześć siedmiu założycieli Serwitów i siedmiu Boleści Najświętszej Marii Panny. Zebrał już sześć przyszłych członkiń zgromadzenia, a przybycie Emanueli uzupełniło właśnie zamierzoną liczbę.

W święto Wniebowzięcia N. M. P 15 sierpnia 1851 r. odbyła się uroczystość obłóczyn i czasowych ślubów zakonnych siedmiu pierwszych Sióstr. Dzień ów uważany jest odtąd w Zgromadzeniu za datę jego założenia. Manuelita przyjęła wówczas imię zakonne S. Marii Desolaty, na cześć Matki Boskiej Bolesnej.

Żadna jednak z owych pierwszych kandydatek nie wytrwała w powołaniu prócz S. Marii Desolaty. Po kolei zaczęły się wycofywać, a ostatnio przybyła pozostała sama i przez to stała się kamieniem węgielnym nowego dzieła. Z czasem zgromadziły się wokoło niej nowe aspirantki, a Don Martinez postawił na ich czele młodą S. Marię Desolatę w charakterze przełożonej. Z nimi więc musiała rozpocząć pracę od podstaw.



O. Martinez skreślił pierwszy szkic reguły dla Sióstr, a była ona teoretycznym ujęciem cnót praktykowanych przez przełożoną, która służyła za wzór swym podwładnym, przez swoje skupienie, pokorę, łagodność i dobroć w stosunku do bliźnich, posłuszeństwo dla władz kościelnych i kierownika.

Jej poświęcenie, cierpliwość w pracy z chorymi, gorliwość i duch apostolski zjednywały jej serca i budowały tych, co patrzyli na nią z bliska.

Gdy O. Martinez został zmuszony do opuszczenia Hiszpanii i udał się na misje do Afryki, powierzył młode zgromadzenie kierownictwu S. Marii Desolaty jako przełożonej generalnej.

Wówczas rozpoczęły się trudności. Opuszczona przez swe towarzyszki i swego opiekuna, młoda 30-letnia przełożona poczuła całą odpowiedzialność za kształtujące się dzieło.

Kandydatek było mało, trudności finansowe wielkie. Przy tym wybuchła w mieście epidemia cholery i zdziesiątkowała mieszkańców. Zastępca O. Martineza widząc, że nowa instytucja chwieje się w posadach, zamianował nową przełożoną generalną, a S. Marię Desolate wysłał do małego, odległego szpitala, uważając ją za niezdatną. Zastępczyni jej, jako siła kierownicza, mimo zdolności nie stała na wysokości zadania, stąd powstały nowe konflikty, które stały się groźne dla Zgromadzenia. Abp. Madrytu sądził, że trzeba będzie rozwiązać zgromadzenie, przedtem jednak spróbował je ratować i powierzył instytucję opiece wybitnego zakonnika, augustianina, O. Cortez. Ten spostrzegłszy fatalną pomyłkę swego poprzednika, wezwał z powrotem S. Marię Desolatę na dawne stanowisko. Pokorna i posłuszna zakonnica w całym tym zajściu dała dowód heroicznej cnoty i uratowała od zagłady zagrożone dzieło. Wraz z Ojcem Cortezem skreśliła następnie regułę dla Służebnic Marii, obowiązującą do dziś dnia w Zgromadzeniu.

Odtąd zaczyna się rozkwit nowego Zgromadzenia, domy się mnożą, obejmując swą pieczą chorych po szpitalach i domach prywatnych. Cała Hiszpania pokrywa się siecią placowek, sierocińców, ambulansów. Za życia założycielki liczba ich doszła do 46. Zgromadzenie cięszy się uznaniem i wdzięcznością społeczeństwa i poparciem rodziny królewskiej. Rzym uznaje ducha i prace Służebnic Marii i w r. 1867 zatwierdza ich regułę.

M. Założycielka sama objęła kierownictwo nowicjatu i wpajała w młode zakonnice ducha miłości, który płonął w jej sercu. Uczyła się przede wszystkim pokory, która jest fundamentem cnót, i poświęcenia dla biednych chorych. Zapalała je żarem apostolskim i wykazywała, że lecząc ciało mają zarazem wlewać balsam w zbolałe serca, a dusze podnosić do Boga. Hojna dla drugich, zawsze gotowa była sobie ująć rzeczy najkonieczniejszych, by zaopatrzyć potrzebujących i biednych.

Zgromadzenie jej wkrótce rozpowszechniło się i poza granicami Hiszpanii. Powstają placówki w dalekich krajach, na Kubie, w Porto Rico. Ameryką otwiera swe podwoje dla pracy zakonnic, wpływ ich szerzy się aż poza oceanem. Mimo jednak zewnętrznej ekspansji zgromadzenie, prowadzone silną, choć macierzyńską ręką założycielki umacnia się wewnątrz, pogłębia swego ducha.

Przed samą śmiercią M. Marii Desalota doznała tej wielkiej pociechy, że otrzymała zaproszenie do Rzymu i mogła złożyć u stóp Leona XIII hołd swej synowskiej miłości, przedstawić Mu swe troski, prace, trudności i osiągnięcia i otrzymać ojcowskie błogosławieństwo na dalsze przedsięwzięcia i trudy.

Ostatnią pociechą w jej życiu była budowa dużego klasztoru w Chambéri, dzielnicy Madrytu, która była kolebką zgromadzenia. Dom ten stał się odtąd siedzibą Matki Generalnej i jej Rady, ogniskiem promieniującym na całe Zgromadzenie.

Zmarła w Madrycie w 1887 r. w 61 roku życia w opinii wysokiej, heroicznej cnoty.

Nowa błogosławiona zbudowała swą świętość na podwójnej podstawie: pokory i miłości.

Te dwie zasadnicze cnoty wzniosły ją jakby na skrzydłach na oltarze w kościele Bożym. **S. M. L.**

„SPONSA CHRISTI"

(Listy do Krystyny o możliwościach osiągnięcia świętości w małżeństwie)

XV.

Najdroższe Dziecko!

Wolę Ci to powiedzieć od razu: już w chwili gdym czytał Twój pierwszy list, ten, który przed niespełna rokiem dał początek naszej długotrwałej korespondencji — wiedziałem, że o to, tylko o to, Ci właściwie chodziło. Że na to właśnie zagadnienie oczekiwałaś ode mnie jakiejś, choćby w przybliżeniu zadawalającej odpowiedzi. Wielekroć już miałem zamiar powiedzieć Ci to otwarcie. Ale zawsze cofałem się przed ogromem i zawiłością problemu. Bo masz słuszność... I ja przez to przeszedłem. Przypuszczam, iż przez tę właśnie próbę przechodzi o wiele więcej dusz, niżeli się domyślamy.

Gdy otrzymałem Twój ostatni list, miałem w pierwszej chwili ochotę odesłać Cię w tej sprawie do jakiegoś światłego kapłana, sam zaś wstrzymać się od odpowiedzi. Po namyśle jednak doszedłem do wniosku, że aczkolwiek pragnąłbym bardzo, abyś swe wątpliwości omówiła z jakim wytrawnym teologiem — niemniej pozwolę sobie i ja dorzucić coś od siebie. Podzielić się z Tobą owocem własnych doświadczeń, przemyśleń, wieloletniej rozterki. Bo tę rozterkę w całej jej rozciągłości lepiej zdołał zgłębić ten, kto sam na sobie doznał bólu, jakim przeszywa wrażenie, żeśmy się sprzeniewierzyli ideałom młodości, żeśmy obrali drogę, na której — jak się nam zdaje, siłą rzeczy — nie możemy być, jak powiadasz „całkowicie Chrystusowi".

Gdy z tym zamiarem odpowiedzi odczytałem raz jeszcze Twój list, była późna noc. Dookoła panowała taka cisza, iż zdawało mi się, że słyszę wyraźnie rytm własnego tętna. Krąg światła kładł się na słowa:

„Wszystkie Pańskie wywody trafiają mi najzupełniej do przekonania. — Ale chcąc być szczera muszę wyznać, że nie powiedział mi Pan jeszcze nic takiego, co by było dla mnie całkowicie rewelacją. Oczywiste, że wiek i doświadczenie dały Panu możność bardziej wszechstronnego przemyślenia tych zagadnień, rozpracowania ich bardziej szczegółowo. Ale w gruncie rzeczy wszystko, co mi Pan dał, to tylko potwierdzenie moich własnych, choć jeszcze nie tak dokładnie sprecyzowanych koncepcji.

Ale widzi Pan, jest w tym wszystkim jeszcze inna sprawa. Otóż dla nas, którzyśmy od najwcześniejszych lat poznawali co znaczą słowa „Bóg", który raduje młodość moją", ośrodkiem grawitacyjnym wszystkich marzeń i zrywów tej młodości były słowa „Sponsa Christi". Chcieliśmy być „cali Chrystusowi". Potem przyszły lata, kiedy stwierdziliśmy, że nie jesteśmy jednak stworzeni do zakonu, że nawet nie jesteśmy stworzeni do celibatu w świecie. Jakim sposobem zdołaliśmy to stwierdzić? Nie potrafiłabym Panu wyjaśnić. Ot, czuje się to po prostu. Przypuszczam, że nikt nie potrafi dokładnie wyjaśnić mechanizm powołania. Ale to, że czujemy się teraz powołani do małżeństwa, nie umniejsza jakoś w niczym tamtego pragnienia: „cali Chrystusowi". Dlatego oczywiście chcemy, ażeby ktoś, kto się nam tym trochę wyznaje, dowiódł nam, że i w małżeństwie dojść można wysoko, bardzo blisko Pana Boga. I tego bez wątpienia zdołał mi Pan dowieść. Ale pomimo wszystko, to jest tylko „dojść" i tylko „bardzo blisko"... To nie jest wyruszyć od startu tylko z Chrystusem, tylko dla Niego i w zupełnej z Nim jedności... Wydaje ci się chwilami, że udane małżeństwo, w którym kocha się całym sercem i męża i dziecko, jest bardziej nierozkruszalną zaporą odgradzającą od stałego, zupełnego sam na sam z Chrystusem, niżeli nawet grzech. Po grzechu może przyjść skrucha i tym większa miłość, tym ściślejsze zespolenie. A tu nie ma ani grze-

chu, ani powodu do skruchy. Ale zapora jest. Jeśli pomiędzy małżeństwem i rodzicami, a dziećmi panuje zrozumienie i miłość, to jasne jest, że ci ziemscy są nam poniekąd najbliżsi. Mówi się nam wprawdzie że „trzeba ich kochać w Bogu". Jednakże niech się Pan nie zgorszy — wydaje mi się to strasznie sztuczne. „Kochać w Bogu" mogę kogoś który jest mi wedle serca obojętny, lub nienawistny. Wtedy mogę powiedzieć „z miłości do Ciebie, Panie, jednak ich będę kochała". — Ale kochać dla Boga kogoś, którego się kocha zwyczajnie, po ludzku całym sercem?... Nie rozumiem jak to może wyglądać"... Rozumiem jak można w szczęśliwym małżeństwie kochać i wielbić Boga — Stwórcę, Prawodawcę, Opiekuna, Opatrzność... Ale jak tu kochać Chrystusa — Oblubieńca duszy?.... A jednak czuję się to doskonale, że tęsknota za tą właśnie miłością będzie mnie trawiła przez całe życie. Wiem, że im piękniejsza, im czystsza będzie moja miłość ziemska, tym drapieżniej tamta tęsknota będzie mi się wżerała w serce poczuciem niedosytu i poczuciem zdrady"...

Nie odrywając oczu od kart Twego listu sięgnąłem ręką przed siebie. — I również nie podnosząc oczu otworzyłem Księgę, między wszystkimi jedyną. Wiedziałem, iż sama otworzyła się na stronicy której mi potrzeba. Na świetlanej stronicy pełnej tajemnic tylekroć już roztrząsanych i przemedytowanych. A gdy odsunąłem Twój list, by zagłębić się w ten tekst, jeden z najcudniejszych w Ewangelii, słyszałem już zupełnie wyraźnie, nie rytmiczne bicie a łomotanie własnego serca.

W ciszy nocnej odezwały się słowa:

„Szymonie Janów, miłujesz mię więcej niźli ci?"...

— „Panie, Ty wszystko wiesz, Ty wiesz że Cię miłuję!"...

— „Gdyś był młodszym opasywałeś się i chodziłeś, dokąd chciałeś, lecz gdy się zestarzejesz wyciągniesz ręce Twe, a inny cię opasze i poprowadzi gdzie ty nie chcesz... Pójdź za mną"...

„Piotr obróciwszy się ujrzał tego ucznia, którego miłował Jezus... Tego tedy ujrzawszy Piotr rzekł Jezusowi:

— „Panie, a ten co?".

Powiedział mu Jezus: „Tak chcę, ażeby został, iż przyjdę, co Tobie do tego: ty pójdź za mną".

„Miłujesz mnie więcej niźli ci?...." Czyż to nie było paradoksalne na pozór pytanie? Wszak opodal stał uczeń umiłowany, ten który zdawałoby się miłował najwięcej i miłości tej złożył niezłomne świadectwo w kalwaryjskiej próbie wierności. Oto przy boku Mistrza stali oni dwaj: Jan, który nie zachwiał się nigdy przez chwilę, którego kochanie i męstwo wytrzymały doświadczenia trwogi i hańby i bólu i wleczenia po sądach i naigrawania się i śmierci... I Piotr, któremu łzy żalu już zdążyły wyżłobić dwie bruzdy na twarzy, któremu w uszach bezustannie brzmiało złowieszcze pianie koguta. Lecz do niego właśnie zwracał się Pan z pytaniem: azali miłujesz mię więcej niż oni?"

A zresztą gdyby nie było nawet jeszcze tego wszystkiego co było i co zdawałoby się niezbicie rozstrzygało pytanie kto miłuje najwięcej, skądże Piotr mógł wiedzieć w jakim stopniu miłują tamci? Jakże mógł odkryć tę miarę, która by mu pozwoliła stwierdzić, że on sam miłuje więcej?

Paradoksalne pytanie... Czy nie było ono pewnego rodzaju egzaminem wiedzy o miłości zdobytej w ciężkich dniach, przez Piotra w świetle pokory, przez Jana w zwycięstwie wierności? Bo wyobraźmy sobie — jeśli można — jakby się był potoczył ten sam dialog gdyby się był odbył na kilka miesięcy przedtem. Czyżby porywczy Szymon Bariona nie zakrzyknął natychmiast bez wahania: Oczywiste, Panie, iż ja miłuję Cię najwięcej! A uczeń umiłowany, dotknięty tym odbieraniem mu pierwszeństwa, czyż nie upomniałby się o swoje miejsce po Pańskiej prawicy?

Zaprawdę wielka jest wiedza o miłości, zdobyta w odkupieńczym świetle pokory i w próbie wierności przewiercającej duszę, aż do jej najgłębszych pokładów. Bo na paradoksalne pytanie nikt nie zareagował. Jan, milcząc, słuchał. A Piotr trzykrotnie zapewniając o swej miłości sprawę określenia jej

istotnej miary powierzył wszechwiedzy Umiłowanego...

Ale to pytanie: „więcej niż ci?" — pytanie które nie doczekało się właściwie odpowiedzi — czyż nie zawierało innej wskazówki? Wskazówki, iż każdy, ale to każdy miłośnik i wyznawca, może i powinien miłować więcej, bo więcej mu przebaczono. Jan umiłował więcej, gdyż nigdy się nie załamał... — I „miłować więcej niż tamci" powinien każdy z nas... Więcej, nie jakimś absolutnym „więcej" wyrażającym się w matematycznej sumie miłości... Ale jakimś „więcej" indywidualnym, które tylko każda pojedyncza dusza może z siebie dać. — Jakimś darem, na który tylko ją jedną stać, jakimś poświęceniem, które tylko dla niej jednej będzie ofiarą, przekreśleniem na krzyż jakiegoś odcinka, który tylko w jej własnej głębi drga nerwami przyrodzonych pragnień.

Czyż taka interpretacja nie narzuca się w dalszym ciągu tego niezrównanego dialogu?"... Gdy się zestarzejesz, inny Cię opasze i poprowadzi gdzie ty nie chcesz..." Oto stali obok siebie, oni dwaj, najbliżsi sercu: Piotr spontaniczny i żywotny, pełen dynamizmu, rozmachu, wspaniały typ człowieka czynu... I Jan wielki mistyk, którego jedyna radość była w kontemplacji Pana..." Gdy się zestarzejesz, inny cię opasze i poprowadzi gdzie nie chcesz"... Życie Piotra u rozkwitu apostolskiej kariery miała przerwać męczeńska śmierć, a Jan, którego bez wątpienia musiało pożerać pragnienie całkowitego upodobnienia się do Umiłowanego przez fizyczną mękę i widzialny krzyż, Jan, którego musiała trawić tęsknota za odejściem już wreszcie ku Niemu — miał pozostać i trwać... przez wiele dziesiątków lat, w tęsknocie i oczekiwaniu... aż Ten sam po niego przyjdzie. „Więcej niż tamci"... Piotr przez entuzjastyczne przyjęcie krzyża wtedy gdy pragnął móc jeszcze zdobywać Chrystusowi wyznawców, gdy w swym ludzkim sercu pragnął jeszcze odsunąć od siebie na czas jakiś śmierć kładącą kres jego apostolskiej pracy... „Więcej niż tamci..." Jan przez zgodę na wieloletnie życie, podczas gdy pragnął śmierci. Przez zgodę na zwykłą śmierć, podczas gdy pragnął krzyża. Zawsze mi się zdawało, iż spośród bliskich Panu, nikt zapewne nie nosił w sobie tak żarliwego pragnienia męczeńskiej śmierci jak tych dwoje niezłomnych, którzy patrzyli na Chrystusowe konanie: Jan i Magdalena. Ale właśnie im obojgu męczeństwo nie zostało dane. Bo ich indywidualnym „więcej niż tamci"... była właśnie męka tego nie ziszczonego pragnienia.

„Panie, a ten co?..." Odwieczne pytanie stawiane przez wszystkie dusze które Go miłują. Pytanie, w które właściwie by można streścić i wszystkie słowa Twego listu. Bo cóż one znaczą te słowa? Znaczą tyle co: dlaczego w zarąniu młodości pragnęłam tytułu „Sponsa Christi", pragnęłam umrzeć sobie przez umieranie wszystkim uczuciom, które nie są miłością Chrystusową, a tymczasem teraz gdy już się „zestarzałam, gdy już dojrzałam do wyboru, Pan opasuje mnie innym powołaniem, każe mi iść ku sobie poprzez miłości ziemskie?... Dlaczego właśnie taką śmiercią sobie mam Pana uwielbić? Kiedy wydaje mi się, iż w ten sposób nie zdołam umrzeć sobie i sprostać Jego wołaniu: „Pójdź za mną!" A spoglądając ku tym, których Pan obdarzył tytułem „Sponsa Christi", pytasz dlaczego oni, a nie ja? Odpowiedź na to pytanie jest zawsze ta sama co ongiś nad jeziorem Tyberiackim. „Co tobie do tego?"... I powtórzenie wołania „Ty pójdź za mną"!

„Czuję że im piękniejsza, im czystsza będzie moja miłość ziemska, tym drapieżniej tamta tęsknota będzie mi się wżerała w serce poczuciem niedosytu i poczuciem zdrady..." Pisząc te słowa nie zdawałaś sobie nawet sprawy z tego, iż tym samym trafiłaś na rozwiązanie. Oto marzenie i zrywy Twej najwcześniejszej młodości grawitowały wokół słów „Sponsa Christi", a Pan Cię opasał innym powołaniem. Lecz tęsknota w Tobie żyć będzie i nie daj Boże, ażeby umarła. Tak jak tęsknota Piotra dalszych połowów, które już nie miały stać się jego udziałem, jak tęsknota Jana do Krzyża, na którym nigdy nie zawisnął. Tęsknota, któ-

ra będzie właśnie tym Twoim osobistym „więcej jak tamci". Czy nie przyszło Ci nigdy na myśl, że tęsknota jest najdoskonalszą żertwą miłości? Że poczucie niedosytu, nawet poczucie zdrady, może rozpłomienić miłość do granic, które nie zawsze zdoła osiągnąć miłość ciesząca się poczuciem całkowitego posiadania...

I czy istnieje właściwie na tym świecie poczucie całkowitego posiadania? Tęsknota za pełnią miłości Chrystusa-Oblubieńca dusz naszych, właściwie zawsze zżera każdą duszę, którą ta miłość już raz swym piętnem naznaczy. Dopóki wleczemy się po ścieżkach tego ziemskiego wygnania zawsze nas trawić będzie jej niedosyt. A ekonomia łaski rządząca miarą tego niedosytu i tęsknoty jest bardzo swoista. Umiejmy jak Piotr w cudownej pokorze która mu podyktowała odpowiedź „Ty wiesz wszystko"... Odwiecznej wszechwiedzy postawić ocenę ich miary.

Miejmy, Krysiu, tę pokorę najtrudniejszą ze wszystkich form pokory, aby nie pytać „Panie, a ten co?" Umiejmy złożyć Umiłowanemu ten hołd ufności w Jego wszechwiedzę, by nie roztrząsać dlaczego jedne dusze, które zdawałoby się wszystko predestynowało do tego, by stać się w pełnym słowa znaczeniu „Sponsa Christi", Pan odprawia jak gdyby od siebie, każąc im iść ku sobie poprzez ziemską miłość. Cóż my wiemy o tym, dlaczego bogatemu młodzieńcowi, o którym wiedział że nie pójdzie za nim, proponował wyłączność swej miłości, a uleczonego opętanego z Gerazy, który go błagał o pozwolenie pozostania przy Nim, odesłał do rodzinnego kręgu, na świadectwo tego, co dokonał w nim Bóg? Cóż możemy wiedzieć o tym, dlaczego zaszczytem powołania do tytułu „Sponsa Christi" darzy niekiedy nawet mierne dusze, które nigdy nie wyniosą się ponad przeciętność, a z drugiej strony każe poprzez cudną i żarliwą miłość ziemską iść ku sobie takim duszom jak św. Ludwik, św. Elżbieta, lub współczesna pani Leseur.

Cóż możemy wiedzieć o tym?... A jednak trochę wiemy... Wiemy iż chodzi o to, by każdy miał na swój jedyny, niepowtarzalny sposób możność umiłowania „więcej niż tamci"...

Jednych powołuje do zastawionego stołu ustawicznego obcowania ze sobą, porażając ich jednocześnie poczuciem oschłości, oschłości, która stać się ma właśnie próbą ich miłości. Innym każe odżywiać się okruchami, budząc w nich jednocześnie żrące łaknienie. Jednym każe wspinać się ku sobie zawrotnymi skrótami poprzez rozpadliny i kolce, choć siły ich opuszczają tak, że już nie czują tęsknoty do celu a tylko w oparciu o łaskę i własną nieustępliwą wolę brną dalej. A innym wyznacza malowniczą i okrężną drogę, po której, mimo piękna krajobrazu, nie przestają wzdychać i tęsknić do celu. Bo właśnie o to wzdychanie Mu chodzi. O ten tryumf jego miłości w sercu, którego najpiękniejsza nawet ziemska miłość nasycić nie zdoła. O ten tryumf tym większy im piękniejsza i czystsza i szczęśliwsza jest ta ziemska miłość.

O jednym tylko pamiętaj, Krysiu! — Nie można nigdy ulec pokusie „daremności" tęsknoty. Nie można nigdy ulec pokusie znieczulenia tej rany gdy zbyt mocno boli... Niech boli. Niech nam potwierdza jak piętno stygmatu, że jednak naznaczył nas palec Tego, który wybiera. Opiekę nad tą raną potrzeba powierzyć pielęgniarskim dłoniom Matki „wszelkiego Miłosierdzia aby utrzymała w niej żywy przypływ najczystszej krwi serdecznej i nie dozwoliła jej rozjątrzyć się goryczą... — Goryczą, która tak często zakrada się do tęsknoty dusz mistycznych żyjących w małżeństwie. Bo z czasem zaczyna im się zdawać, iż nie istnieje dla nich ta miara wedle której pozwolono by im miłować na swój sposób „więcej niż tamci".

Nawiasem dodam jeszcze, iż nie wiem doprawdy, czy uwielbienie Boga przez tę śmierć wewnętrzną jaką jest ustawiczne obcinanie w imię miłości Chrystusowej nowotworów egoizmu obrastających nasze ziemskie miłości nie bywa czasami o wiele bardziej bolesne niżli jednorazowe poświęcenie wszystkich uczuć ziemskich dla zdobycia miłości Najwyższej...

(Dokończenie na str. 17)

BŁOG. ŁADYSŁAW Z GIELNIOWA

Mało przechowało się wiadomości o bł. Ładysławie z Gielniowa. Przyszedł na świat około r. 1440 w Gielniowie w ziemi sandomierskiej w powiecie Opoczyńskim, gdzie dotąd przechowuje się jego cześć w postaci obrazów w tamtejszych kościołach, jak również w Warszawie w kościele św. Anny na Krakowskim Przedmieściu. Pochodził ze skromnej, pobożnej rodziny mieszczańskiej. Na chrzcie otrzymuje imię Jan a zmienia je później w zakonie. Jest dzieckiem dobrym, niezmiernie uczynnym o szczerej pobożności. Dużo uzdolnienia zarówno w nauce jak i w kierunku poetyckim, wysuwają go na czoło uczniów szkółki miejscowej. W młodzieńczych latach skierowany zostaje przez rodziców do Akademii Krakowskiej. — Naonczas życie religijne w Polsce obniża się znacznie. Na tle ogólnego jego oziębienia rysują się w swej ówczesnej działalności święte postacie jak: bł. Szymon z Lipnicy, bł. Stanisław Kaźmierczyk, bł. Izajasz Boner, bł. Michał Giedrojć, św. Jan Kanty, profesor Uniwersytetu Krakowskiego, z którym na studiach zetknąć się ma bł. Ładysław. Przybywa również z zakonem Bernardynów św. Jan Kapistran. Jest prawdopodobne, iż i z nim nawiązuje kontakt bł. Ładysław.

W owym czasie odbywa się w Krakowie ślub Kazimierza Jagiellończyka. Przybyła na niego ks. Anna Mazowiecka poznaje św. Jana Kapistrana i decyduje ufundowanie zakonowi Bernardynów klasztoru w Warszawie. Do niego to wstępuje bł. Ładysław i tu spędza lata nowicjatu jak też 1 sierpnia 1462 r. składa śluby zakonne. Surowy dla siebie, zapalony gorliwością szybko wznosi się na wysoki poziom duchowy. Z żarliwym zapałem nawołuje ludność do poprawy życia, odznaczając się przy tym niezwykłą mądrością i słodyczą charakteru, jednającą mu sympatię i przychylność ogólną. — Zarówno ludzie świeccy jak i współbracia zakonni garną się do niego z najgłębszym zaufaniem, biorąc od niego tę siłę łaski, jaka stale promieniuje od niego. W zakonie otrzymuje wysokie urzędy. W r. 1487 na propozycję O. Mariana Jezierskiego, mimo swego oporu, mianowanym zostaje przełożonym klasztoru.

Przez następne 2 lata na dorocznym zebraniu daremnie powodowany skromnością i poczuciem nieudolności prosi o zwolnienie z urzędu.

W r. 1489 skierowany zostaje na zgromadzenie generalne do Rzymu. — O pobycie jego w Wiecznym Mieście, oraz odniesionych tamże wrażeniach nie przechowują się niestety żadne dane.

Po powrocie do kraju oddaje się pracy kaznodziejskiej i działalności poetyckiej pisując wiersze religijne, po czym po upływie lat ośmiu w r. 1469 ponownie zostaje mu powierzony urząd prowincjała. Pozostaje na nim szereg lat, odznaczając się wydatnym i rozumnym kierownictwem. Między innymi podejmuje również prace misyjne na Litwie, gdzie mimo nawrócenia panowały jeszcze zabobony i ciemnota.

Dwukrotnie pieszo o żebranym chlebie wędruje do Rzymu na zebranie kapituły. W ten sam sposób lustruje swo-

---

(Dokończenie ze str. 16)

„Więcej niż tamci..." Każdy z nas... Każdy z nas... Każdy na swój sposób... Pod znakiem powołania jakim go Pan przepasał, niezależnie od rodzaju śmierci wewnętrznej, jaką przeznaczono mu Boga uwielbiać. Z gotowością, jaką Piotr przyjął krzyż kładący się w poprzek dalszych połowów. Z cierpliwością miłosną, z jaką Jan przyjął swe długie życie, które nie miało się doczekać krzyża... „Więcej niż tamci..." A czy naprawdę „więcej"... to zdoła ocenić tylko Ten, „który wie wszystko".

Jan Rybałt

je klasztory w liczbie 24 na Litwie, Białej Rusi, Pomorzu i różnych dzielnicach Polski. W r. 1498 podąża również pieszo do Mediolanu na zgromadzenie generalne, celem obrony klasztorów polskich przed rzuconymi na nie oszczerstwami. Otrzymuje w tym poparcie u Ojca św.., królów Jana Olbrachta i węgierskiego Władysława.

Niestrudzony w rozlicznych pracach zewnętrznych oddaje się z równą żarliwością życiu modlitwy, nie zaniedbuje też uświęcenia się w najniższych posługach domowych. Piastowany wysoki urząd nie przeszkadza mu w tym bynajmniej.

Wykorzystując swe uzdolnienia poetyckie ku chwale Bożej, tworzy w formie wierszowanej pieśni nabożne, użytkowane w szkołach i na nabożeństwach kościelnych. Nie obca mu jest przy tym i łacina. Pisze też liczne kazania, wiersze o Męce Pańskiej, o cnotach Najśw. Maryi Panny, pieśni o świętych Pańskich na wszystkie dni roku itp.

Za jego życia nawiedza Polskę klęska napadu Tatarów. Wśród zgliszcz, ogólnej rozpaczy i popłochu Ładysław niestrudzenie przebywa miasta i wioski nawołuje do krucjaty modlitewnej, zarówno po klasztorach jak i wśród ludności. Powszechne błagalne wołanie do Boga nie pozostaje bez echa. Niespodziewany wylew Dniestru i Prutu a następnie niezwykle silne mrozy wypłaszają zdziesiątkowanego wroga z granic Ojczyzny.

Stary i sterany już życiem Błogosławiony otrzymuje na kapitule w r. 1504 w uwzględnieniu położonych dla zakonu niezwykłych zasług propozycję wypoczynku, oraz swobodę obrania sobie dowolnego miejsca pobytu, jako też przydział do osobistych posług towarzysza jednej z dawniejszych swoich wypraw O. Stanisława Słupskiego. Bł. Ładysław ze zdumieniem wysłuchuje decyzji Zgromadzenia. Ze swej strony odrzuca ją zdecydowanie. Pragnie do kresu swych dni żyć w posłuszeństwie i służbie dla drugich bez żadnych ulg i wyróżnień. Z właściwą sobie pokorą prosi o wyznaczenie mu placówki dalszej działalności.

Kapituła z najwyższym uznaniem i podziwem przychyla się do jego życzenia. Mianowany zostaje gwardianem i kaznodzieją w Warszawie. — Upływa mu przeszło 40 lat jego pobytu w zakonie. Ciężar ich nie umniejsza jego gorliwości choć moralne siły nie są w stanie sprostać fizycznemu wyczerpaniu. Niemniej piękno kazań Błogosławionego przyciąga tłumy. Znajduje się wśród nich ks. Anna Mazowiecka, której jest stałym kierownikiem duchowym.

W W. Piątek 1505 r. wygłasza kazanie o Męce Pańskiej. Do głębi przejęty tematem porywa słuchaczy. I nagle wpadłszy w zachwyt na oczach zebranych zostaje uniesiony w powietrzu. — Gdy opada na ambonę z osłabienia nie jest w stanie prowadzić kazania do końca. Zaraz potem zapada ciężko na zdrowiu. Z choroby tej nie podnosi się więcej. 4 maja 1505 r. Bóg powołuje go do swojej chwały. Natychmiast przy skromnym grobie w chórze zakonnym rozpoczynają się dziać łaski opisane w kronikach klasztornych. Za jego to przyczyną następuje uzdrowienie synów Zygmunta III Jana Olbrachta późniejszego biskupa Warmińskiego, oraz Władysława IV. Opowiada podanie iż w r. 1522 podczas panującej w Warszawie zarazy morowej oraz głodu, klęski te nagle ustały dzięki modłom zaniesionym do błogosławionego.

Następuje również nadspodziewane ocalenie przez Błogosławionego w roku 1526 rodzinnego jego miasta Gielniowa od napadu Lisowszczyków.

W r. 1572 następuje odwalenie płyty grobowej i oczom obecnych ukazują się kości Błogosławionego, pochowane przed 67 laty głęboko w ziemi, ułożone w porządku tuż pod płytą. Przeniesione zostają one na krótko do głównego ołtarza, po czym do osobnej kaplicy. W r. 1632 rozpoczął się proces zakończony beatyfikacją przez papieża Benedykta XV z równoczesnym ogłoszeniem bł. Ładysława patronem Polski. Niestety pamięć jego ginie wśród potomnych, niemal nikt się do niego nie modli. Warto może ożywić wspomnieniem jego postać świetlaną.

Maria Jelińska

USŁUGI MIŁOŚCI

„I znowu po kilku dniach przybył do Kafarnaum. A posłyszano, że był w domu i zeszło się wielu, tak, że nawet u drzwi zmieścić się nie mogli, a on ich nauczał. I przyszli do Niego, niosąc paralityka, którego dźwigało czterech. A gdy go z powodu tłumu nie mogli wnieść przed niego, rozebrali dach w tej części domu, gdzie był i uczyniwszy otwór spuścili łoże, na którym leżał paralityk. A gdy ujrzał Jezus wiarę ich, rzekł paralitykowi: „Synu odpuszczają ci się grzechy twoje". A byli tam niektórzy z uczonych w piśmie siedząc i myśląc sobie w duszy: „Cóż on powiada? Bluźni. Któż może odpuszczać grzechy jeśli nie sam Bóg?". Ale Jezus przeniknąwszy wnet swym duchem, że tak właśnie myśleli, rzekł im: „O czymże to myślicie w sercach waszych? Czy łatwiej jest powiedzieć paralitykowi: odpuszczają ci się grzechy, czy też: wstań, weźmij łoże twe i idź? Ale abyście wiedzieli, że Syn Człowieczy ma moc na ziemi odpuszczania grzechów (rzekł do paralityka) tobie mówię wstań, weźmij łoże twe i idź do domu twego". A on powstał natychmiast, a wziąwszy łoże, odszedł wobec wszystkich tak, że zdumiewali się wszyscy i cześć Bogu oddawali, mówiąc: Iżeśmy nigdy rzeczy takowych nie widzieli". (Mar., II, **1—12**).

Ludzie w Palestynie, zwłaszcza niezamożni większą część roku spędzaju pod gołym niebem, nie dbając zbytnio o mieszkanie. Budowanie jest bardzo prymitywne, domki są zazwyczaj jednoizbowe, dach stanowią nieociosane belki, które można rozsuwać. Zakrywa się je gałęziami i zalewa gliną lub mieszanką kamieni i ziemi. Na taki dach prowadzą schody zewnętrzne, tam schodzi się rodzina wieczorami. Tam też wnieśli paralityka i zrobiwszy otwór w dachu w pewnym momencie spuścili łoże do stóp nauczającego Chrystusa Pana.

Tę perykopę ewangeliczną czyta Kościół w XVIII niedzielę po Świątkach. Nasuwa ona liczne refleksje. Paralityk to obraz człowieka bez woli, który potrzebuje silnego wstrząsu i motywu, by wyjść z tej psychicznej choroby, wymaga przymusu do wysiłku: „Weź łoże twoje a idź". Postawa Jezusa, który najpierw odpuszcza grzechy, a potem uzdrawia ciało jest dowodem Jego Boskości i wskazówką, jak często niedomagania fizyczne są następstwem niedomagań duszy. Rozstrój wewnętrzny spowodowany nałogiem, zły stosunek do sumienia, nieuporządkowane namiętności i wiele jeszcze innych wad należy brać pod uwagę przy leczeniu ciała. Ileż chorób u dzieci płynie z ich łakomstwa, z brawury lekceważącej niebezpieczeństwa, z nieprzestrzegania przepisów higieny, ile z nieumiarkowanego oddawania się zabawom.

Ale przede wszystkim ta scena Ewangeliczna mówi nam o miłości tych, którzy pokonawszy trudności dotarli z chorym do Chrystusa Pana. Nie wiemy, czy to byli bracia, czy sąsiedzi, czy ludzie najemni, widzimy tylko ich poświęcenie, chęć pomożenia nieszczęśliwemu.

Wzajemna pomoc, wzajemne usługi, jaki to ważny odcinek życia społecznego. Niczego nie trzeba tak się lękać w wychowaniu jak wyłączności zasklepiającej się w czterech ścianach domu, w dosycie osobistym. A to nieraz grozi najzacniejszym rodzinom. Różne mogą być tego przyczyny. Zbytnie zafrasowanie swymi sprawami, obawa przed niedyskrecją sąsiedzką i plotkami, pewna źle pojęta oszczędność, czasem granicząca ze skąpstwem, lęk, że mnie nie starczy, gdy innym pomogę. Może to być wygodnisiostwo, lenistwo i ciasnota serca i myśli, która zamyka oczy i uszy na to, co się dokoła dzieje. Dzieci to wszystko widzą, słuchają i naśladują, egoizm ich pęcznieje, zmniejsza się wrażliwość na cudze troski, zamiera zdolność uspołecznienia.

A jednak życie społeczne, zaczynające się od życia sąsiedzkiego jest bardzo ważne. Jak jednostka w świecie nie da sobie rady bez pomocy innych, tak i rodzina potrzebuje pomocy sąsiadów. Życie bowiem ma swoje prawa i od tego jak je traktujemy, uczynić je możemy więcej lub mniej znośne.

Dzieci z natury swej są towarzyskie, szybko rodzina przestaje im wystarczać, podwórko, gdzie się schodzą sąsiedzi jest ich wymarzoną krainą. Łatwo tam zadzierżną węzły koleżeńskie i nawet wtedy, gdy starsi ustosunkowują się nieżyczliwie, młodzi potrafią żyć bardzo blisko. Dlatego rozumna matka wciąga dzieci do sąsiedzkich usług i daje im pole wyżycia się ich przyrodzonych pociągów, aktywności i samodzielności. Zachoruje sąsiad, dziecko może sprowadzić lekarza, pobiedz do apteki, popilnować domu, zająć się młodszymi dziećmi, stanąć „w ogonku" itd. Zamiast wywłekać przed dziećmi grzechy sąsiadów i odgrażać się pomstą za tę czy inną nieuprzejmość lepiej tłumaczyć dzieciom, że ludzie są lepsi niż nam się wydaje, a każdy kubek wody podany w imię Boże, Chrystus liczy, jakby sobie uczyniony. I dziecko czeka kiedyś sąd: „byłem głodny i nie nakarmiliście mnie..."

Nawet wtedy gdy słusznie zabraniamy dzieciom kontaktu z osobą zdeprawowaną, w chwilach nieszczęść musi pospieszyć z pomocą.

W Ewangelii mamy jeszcze inną przypowieść dotyczącą życia sąsiedzkiego, którą Kościół czyta w dni krzyżowe, wskazując konieczność wytrwałej modlitwy. Opowiada o człowieku, który o północy puka do przyjaciela z prośbą o kawałek chleba, nie miał bowiem czym przyjąć gościa. A trzeba wiedzieć, że na wschodzie przestrzega się bardzo gościnności. Zbudzony ze snu nie chce mu udzielić chleba ze względu na spóźnioną porę. Wreszcie przynaglony wytrwałym pukaniem dał mu „z powodu jego natręctwa". Słyszymy poprzez tę przypowieść wska-

zówkę, by bardziej być giętkim w udzielaniu pomocy. Pamiętajmy, że prośba nie jest rzeczą łatwą, dlatego delikatnie winniśmy odnosić się do proszących, bo i my nieraz o coś prosić musimy. Gdy zaś doprawdy musimy odmówić, osładzajmy to serdecznością, niech drugi wie, że nam jest to bardzo przykro.

W Kazaniu na górze Chrystus Pan uczy: „Kto cię o co prosi daj mu, a nie odwracaj się od tego, który chce coś u ciebie pożyczyć" (Mat., V, 42).

Jedną z zalet atmosfery wychowawczej jest pokój; ażeby go utrzymać w domu należy dbać o dobre stosunki z sąsiadami. Do tego przyczynia się nie wtrącanie się w cudze sprawy, wyrozumiały sąd o postępowaniu bliźniego, byśmy nigdy nie grzeszyli jak faryzeusze przypisujący Zbawicielowi najgorsze myśli. Ważne jest przebaczanie uraz, których tak wiele w domu z powodu różnic kultur, temperamentów. Nie należy drażnić słowami bliźniego i temu zagadnieniu poświęca Chrystus część Kazania na górze „Każdy, który się gniewa na brata swego, będzie winien sądu. A kto by rzekł bratu swemu „raka" (wstrętny, godny pogardy) winien będzie Rady, a kto by rzekł głupcze będzie winien ognia piekielnego. Jeśli tedy poniesiesz dar twój do ołtarza, a tam wspomnisz, że brat twój ma coś przeciw tobie, zostaw tam dar twój przed ołtarzem, a idź, pojednaj się wpierw z bratem twoim. A potem przyjdziesz i złożysz dar twój" (Mat., V, 21—24).

Jak często jednak lekceważymy w życiu te wskazania, jak często dzieci są świadkami słownych utarczek, przekleństw miotanych pod adresem bliźniego, jak wcześnie spotykają się z najpodlejszą zemstą. — Słyszą i naśladują, a gdy dorosną nie będą na pewno czynnikiem pokoju i zgody.

W rodzinie Piusa X panował piękny zwyczaj wzajemnego przepraszania się przed udaniem na spoczynek, przepraszano nie tylko za wyrządzone przykrości ale i za zaniedbanie uczynienia dobrego, wyrządzenia usługi. Roztrząśnijmy sumienia dzieci w tym kierunku przynajmniej od czasu do czasu, zwłaszcza w dzień spowiedzi, wymagajmy przeproszenia osób dotkniętych i wynagrodzenia krzywd, a więc uczynków miłości, których przykład dają nam ci dwaj niosący paralityka.

Czy się o tym myśli?

Wymagajmy więcej prawości, więcej zrozumienia istoty sprawiedliwości i miłości i prośmy Serce Boże „pełne tej miłości i sprawiedliwości", by na swoją modłę urobiło serca nasze.

S. Barbara Żulińska

INNE SPOJRZENIE

Na zbiorowość ludzką, a raczej na ludzi, którzy ją stanowią, patrzeć można w różnoraki sposób. Przyrodnik patrzy na człowieka z punktu widzenia biologicznego. Bada jego układ anatomiczny i procesy fizjologiczne. Psycholog stara się poznać jego psychikę: akty myślenia, dążenia woli, stany uczuciowe. Socjolog obserwuje jego współżycie z innymi ludźmi. Humanistę interesują dzieła przezeń stworzone, czyli jego twórczość kulturową. Teolog wreszcie patrzy na człowieka z punktu widzenia jego stosunku do Boga i ustala cechy nadprzyrodzone organizmu ludzkiego.

I on to właśnie — w świetle teologicznych prawd — stwierdza, że inny jest sposób odnoszenia ludzi do siebie na platformie przyrodzonej, a inny na nadprzyrodzonej. Przyrodzony sposób odnoszenia się do bliźnich wyznaczony jest przez przyrodzone władze poznawcze i pożądawcze. Każdy człowiek jest dla drugiego przede wszystkim stacją nadawczą zmysłowych bodźców i każdy posiada zmysłowy aparat odbiorczy wzroku, słuchu, powonienia i dotyku, którym odbiera te wrażenia poznawcze. Nie rejestruje ich jednak biernie, lecz oddziałuje na nie aktywnie swym zmysłowym aparatem pożądawczym w sposób dodatni lub ujemny.

Podobnie jest i w przyrodzonej dziedzinie duchowej. Niektóre zwłaszcza wrażenia, zebrane przez zmysły, człowiek przetransponowuje w sferę umysłową i nawiązuje z drugim człowiekiem kontakt duchowy. To poznanie umysłowe z kolei porusza dziedzinę woli, która na podstawie dostarczonego jej materiału odnosi się do danej osoby pozytywnie lub negatywnie.

W obu więc tych wypadkach mamy podobny tok działania. Pobudką stosunków międzyludzkich jest człowiek jako taki, człowiek sam w sobie. Inną jednak podstawę stwierdza teolog człowieka do człowieka w dziedzinie życia nadprzyrodzonego. Tutaj punktem centralnym, istotnym i decydującym jest wyłącznie i jedynie — sam Bóg. Człowiek odnosi się do człowieka w dziedzinie nadprzyrodzonej przez pryzmat swego stosunku do Boga. Dzięki wierze nadprzyrodzonej widzi w drugim człowieku, w swym bliźnim, coś więcej jeszcze niż tylko drugiego podobnego sobie człowieka, członka tego samego, co i on sam, gatunku psychofizycznego, widzi w nim ponadto dzieło boże, i dzięki temu wola jego — owładnięta miłością nadprzyrodzoną — reaguje nań zawsze tylko pozytywnie, bo pozytywny jest już uprzednio jego stosunek do samego Boga. Nie ma więc w człowieku dwóch miłości nadprzyrodzonych: jednej do Boga i drugiej do bliźniego. Jest miłość jedna, która obejmuje Stwórcę i jego dzieło i to bez względu na to, jaki stopień doskonałości przyrodzonej i nadprzyrodzonej dzieło to posiada.

Chrześcijanin w bliźnim widzi więc Boga. Przyrodzone cechy bliźniego są dla niego uczestnictwem w bycie bożym i jego przymiotach, bo każdy człowiek stworzony jest na obraz i podobieństwo boże. Natomiast nadprzyrodzone cechy bliźniego są ujawnieniem bożej natury i jego życia, bo żyjąc życiem nadprzyrodzonym żyje on łaską, która jest uczestnictwem w naturze bożej i cnotami, które są udziałem w działaniu bożym. To też chrześcijanin miłuje bliźniego, bo jest on odblaskiem doskonałości bożych, w bliźnim miłuje on samego Boga, podobnie jak kocha się pewnych ludzi miłością przyrodzoną dlatego, bo są oni dziećmi drogich nam osób.

Chrześcijanin widząc w drugim człowieku dzieło Boga obchodzi się z bliźnim, jako z czymś godnym czci, szacunku, przyjaźni, obchodzi się z nim, jak z czymś świętym, czego nie wolno poniewierać. I dzięki temu miłość nadprzyrodzona, która raz wiąże duszę

człowieka z Bogiem więzią zespalającą, z kolei wiąże podobną więzią wszystkich miłujących się nadprzyrodzoną miłością ludzi, tak że powstaje w Bogu, przez Boga, z Bogiem i dla Boga pewne zjednoczenie, pewna wspólnota nadprzyrodzona, w której elementem łączącym jest miłość, miłość zrodzona zresztą w Bogu i wlana ludziom w serca wraz z łaską uświęcającą.

Sprawa ta jest zawrotną i wydać się może nieziszczalną mrzonką dla tych, co lubią czuć realną ziemię pod stopami nawet w swych rozumowaniach. Przyjmując nawet ewentualnie taką postawę w stosunku do ludzi dobrych, zaprzeczają możliwości tak doskonałego odnoszenia się w stosunku do tych, którzy zatarli w sobie obraz boży i dalecy są od wspólnoty chrześcijańskiej. Nie mają jednak racji. I wtedy nawet zasługuje bliźni na to nadprzyrodzone doń ustosunkowanie, bo i on przecie przez Boga stworzony i wobec niego ma Bóg swoje zamiary, które ów człowiek wprawdzie niestety lekceważy, ale które niemniej nic nie tracą na swej wartości. Kocha się wówczas bliźniego miłością współczującą, pragnąc dlań jak najrychlejszego powrotu dla Boga. Zawsze więc ustosunkowanie się chrześcijanina do bliźniego nacechowane jest miłością braterską i opromienione nadzieją, że dzielić z nim będzie kiedyś wspólne życie w Bogu.

Podobnie jak nadprzyrodzona miłość Boga, tak i nadprzyrodzona miłość bliźniego nie polega na uczuciach, których nieraz brak może być całkowicie, ale na pozytywnym odnoszeniu się do bliźniego. W czynach, a nie w słowach i nie w porywach serca wyraża się ta miłość. Unika ona więc przede wszystkim tego, co może bliźniego zranić; a mianowicie lekkomyślnych sądów, surowych krytyk, złośliwych obmów i potwarzy, przykrych słów, szyderstw i dowcipów. Unika sporów, waśni, procesów, fałszywych oskarżeń, donosów, zniesławień, upokorzania drugiej osoby przez dumne i nieprzystępne, pogardliwe odnoszenie się doń. Unika się krzywdzącego załatwiania wszelkich spraw dotyczących bliźniego. Unika się gorszenia go w słowie i czynie oraz sprowadzania go na manowce złego życia. Miłość nadprzyrodzona ponadto cierpliwie znosi wady bliźniego, przebacza mu doznane krzywdy i zniewagi.

Ale to jeszcze mało. Postawa powstrzymująca się wyłącznie od złych uczynków nie wystarcza. Nadprzyrodzona miłość bliźniego zdobywa się ponadto na pozytywne czyny. Świadczy ona dobre uczynki co do ciała i duszy, wychodzi sama naprzeciwko różnych potrzeb bliźniego i stara się opromienić mu życie swym blaskiem i ogrzać swym ciepłem. A im ten bliźni mniej pociągający fizycznie, duchowo i z punktu widzenia nadprzyrodzonego, tym ta pozytywna postawa zyskuje na wartości i dochodzi nieraz do heroizmu. Lecz nic nie jest ciężkie dla człowieka, który naprawdę widzi w swym bliźnim Boga, którego kocha ponad wszystko. Dlatego też miłość nadprzyrodzona jest zupełnie innym sposobem odnoszenia się do ludzi niż miłość przyrodzona. Wprawdzie i ta miłość zdobyć się nieraz potrafi na bardzo szlachetną postawę względem drugiego człowieka, rzadko kiedy jednak wytrzymuje ona zbyt trudne próby losu. Miłość nadprzyrodzona potrafi stawić czoło wszelkim przeciwnościom jest ona bowiem owocem innego spojrzenia człowieka na człowieka, niż to się dzieje w dziedzinie przyrodzonej. Tam ludzie ustosunkowują się do siebie pod dyktandem pobudek subiektywnych lub obiektywnych, ale wyrosłych na terenie bodźców czysto ludzkich. Tu postawą człowieka kieruje wiara, która rzuca na bliźniego nowy snop światła i ukazuje go w zupełnie innym przekroju. Ponieważ zaś nie ukazuje go wyizolowanego ze swym Twórcą, miłość nadprzyrodzona, która już tkwi w duszy względem Boga, samorzutnie skierowuje się i do bliźniego i jakby drugim ramieniem tej samej miłości go ogarnia, w jednym akcie kochając Boga i człowieka

Felicja Żurowska

POWRÓT Z WYWIADÓWKI

— Dobry wieczór.

— Ach... dobry wieczór — odpowiedziała Irena nagle wyrwana z zadumy.

— Coś taka zamyślona, że nie spostrzegasz znajomych?

— Mam zmartwienie i nie wiem, jak z niego wybrnąć!

— Jakie to zmartwienie? Z czym?

— Raczej z kim?! Jak się pani może domyślić, chodzi tu o mego Tadzika.

— Chory?

— Nie, tylko wracam z wywiadówki. Prawie same dostateczne i to już w czwartej klasie powszechnej. Co dalej będzie? Co z niego wyrośnie? Nauczycielstwo niezadowolone z niego, skarżą się. Chyba go zbiję na kwaśne jabłko, czy ja wiem zresztą, co z nim zrobić? Żebym miała tylko jego, ale przecież mam jeszcze dwie córki i jednego syna, a to wszystko młodsze od Tadka.

— Po pierwsze moja droga, nie trzeba się zbyt denerwować, tym bardziej załamywać się, a z drugiej strony uważam, że samo bicie nie na wiele się przyda. Takie pomieszanie groteski z dramatem nikomu na dobre nie wyjdzie, a szczególnie dziecku.

— Wobec tego mam pobłażać lenistwu Tadka?

— Dlaczego wpadasz od razu w krańcowość. Umiłowanym miejscem prawdy jest środek, prawdy nie tylko filozoficznej, ale i pedagogicznej. Powiedziałabym, że w wychowaniu zbiegają się trzy elementy wychowawcy: precyzja myśli, nieustępliwa wola i pieczołowitość serca. Precyzyjna myśl dopomaga nam do nakreślenia celu i planu, który nam dopomoże do osiągnięcia zamierzeń wychowawczych; wola wychowawcy powinna nie znać litości, fałszywej litości wobec wychowanka w kierowaniu nim; wreszcie pieczołowitość serca będzie kojącym balsamem, leczącym dobrotliwym swym wpływem wszystkie rany zadane rygorem i obowiązkiem. Mam wrażenie, że u ciebie wychowanie dzieci polega na improwizacji, na powiedzeniu: „jakoś to będzie". Tak czyni większość matek, a to niedobrze. Wychowując dziecko trzeba postawić sobie cel, na kogo chcesz wychować swojego syna, czy córkę.

— A skąd ja mogę wiedzieć, czy mój syn będzie szewcem czy profesorem uniwersytetu?

— Nie o to chodzi, nie mówię tu o przyszłym zawodzie dziecka, które tylko w części, i to nie zawsze — zależy od rodziców. Rozchodzi mi się o to, że rodzice powinni sobie uświadomić, iż wychowują dziecko na świętego, na człowieka z charakterem, obowiązkowego. I w tym trzeba mu dopomóc. Następnie znaleźć środki, dzięki którym dziecko by zdobyło charakter. Walka o charakter trwa nie miesiąc, ani dwa, ale całe lata. Szczególnie w wieku twojego Tadzika. Nauka ma u niego rozwijać nie tylko umysł, ale i wolę. A w tym potrzeba mu pomóc.

— Wszystko to bardzo ładne i sugestywne, ale w surowym podmuchu życia, to jakże trudne do zrealizowania. Proszę raczej o wskazania praktyczne niż o urzekające teoretyzowanie.

— Czy szukałaś przyczyn słabych stopni Tadka?

— No... jest leniem, nie uczy się pilnie... tylko by uciekał z domu, albo coś by majstrował.... To chyba wszystko.

— Wszystko? Zobaczymy. Czy ma swój *własny kąt* do nauki?

— Swój własny kąt? Ha! ha! A może swój pokój? To się pani udało.

— Nie śmiej się znowu tak bardzo ironicznie. Wiem, że posiadasz tylko jeden, wprawdzie duży — ale jeden pokój, ale pomimo to, zapytuję się powtórnie, czy Tadek ma stałe miejsce

w pokoju do nauki i czy posiada *swoją półkę*, na *swoje książki i zeszyty?*

— Nie ma.

— A szkoda. Dziecko każde choćby w najciaśniejszym mieszkaniu powinno mieć półki na książki, które powinno samo układać. Kurze ścierać, utrzymywać porządek. Inaczej ile czasu potrzebuje na znalezienie swojej książki między książkami rodzeństwa. Gorzej, gdy jedna książka będzie na stole, druga pod łóżkiem, trzecia w szufladzie w kuchni itd., itd. A tak, gdy każde dziecko posiada swoją półkę, to od razu wie, gdzie swoich rzeczy szukać. Po drugie, dobrze by było, żeby każde z dzieci uczących się miało swój „kawałek" stołu, przy którym stale by się uczyło. Tak się uniknie awantur między dziećmi i bójek. Czy Tadzio ma wyznaczony czas do nauki?

— Raczej nie. Bierze książkę wieczorem do ręki i niby się uczy.

— Czy w tym czasie radio gra?

— Naturalnie. Czy może dla Tadka ma cała rodzina poświęcić radio?

— Nie, ale tak trzeba ułożyć program dnia, aby nie zachodziła kolizja między nauką syna a radiem. Zapewne chcesz znowu wiedzieć, jak by to wyglądało praktycznie? Otóż po obiedzie, niech Tadzio pobiega sobie po polu przez pół godziny, dopóki ty nie umyjesz naczynia, następnie niech wraca do domu, umyje sobie ręce, twarz, znak krzyża i do... nauki. Aby mu nie przeszkadzać, weźmiesz resztę dzieci na planty, sama odpoczniesz, dzieci pobiegają, a syn będzie miał ciszę do nauki. Tylko go kontrolować bo uczyć się, a „uczyć" jest różnica. Gdy sumiennie przez dwie godziny dziennie będzie się uczył, a rano jeszcze powtórzy lekcję, mam wrażenie, że nie będzie miał ani jednej trójki. Po dwóch godzinach niech idzie na pole, pobiega, pobawi się z kolegami, a wieczór niech czyta książkę, niech słucha radia, niech się bawi z rodzeństwem.

— A gdy deszcz pada, gdzie pójdę z dziećmi?

— Wtenczas niech Tadzio idzie do kuchni się uczyć, albo rodzeństwo z tobą. W każdym razie, w miejscu gdzie dzieci się uczą, musi być cisza, spokój...

Bożena Mirska

Uniżenie które jest zaszczytem

Było to w roku 1888, kiedy pap. Leon XIII obchodził swój jubileusz 50-cia kapłaństwa. Na uroczystości z tą rocznicą związane zjechało do Rzymu wielu duchownych. Przy jednym z ołtarzy w bazylice św. Piotra zauważono dwóch duchownych: kapłana odprawiającego mszę św. i biskupa usługującego. Jak się okazało, pewien kanonik katedralny czekając w zakrystii na przybycie ministranta do służenia mu we mszy świętej, począł się niecierpliwić i raz poraz obracać za takowym. Zauważył to stojący w pobliżu biskup i podszedłszy oświadczył, że chce mu posłużyć do mszy. Kanonik zawstydzony odpowiedział, że nie może się na to zgodzić.

— Dlaczego nie? — zapytał biskup. Przecież umiem służyć. Już jako mały chłopiec nauczyłem się tego.

— Wiem o tym, chciał się wymówić kanonik, ale to mnie zawstydza.

Lecz biskup nie dopuszczając go do dalszych wymówek uspokoił go, kazał mu iść za sobą do ołtarza i spokojnie odprawiać mszę. Zwrócił się natychmiast i poszedł w stronę ołtarza, ukląknął u stopni, a kanonik chcąc nie chcąc musiał rozpocząć świętą czynność. Po mszy chciał podziękować dostojnemu ministrantowi, ale ten nie dopuścił go do słowa, okazując radość, że mógł służyć kapłanowi. Kto był tym pokornym biskupem? Był nim biskup Mantuy, późniejszy papież, błogosławiony Pius X.

Ot.

OSTATNIA MSZA MAŁEGO MOLUMBE

(List W. O. Verret, misjonarza z Kon-ga „Missions de Scheut“).

Zielone święta. Nastrój radosny... W naszym kościele, w Boyango, wspaniałe uroczystości, uświetnione wyszkolonym, trzygłosowym śpiewem moich czarnych malców. Setki chrześcijan, przybyłych z okolic z podziwem wsłuchują się w podniosłe tony naszych liturgicznych śpiewów.

Ale ja... silę się by nie płakać. Wydaje mi się, że jestem jeszcze w tym ubogim szałasie murzyńskim, gdzie wczoraj byłem świadkiem zgonu 12-to letniego chłopca — mego ucznia i mam ciągle przed oczyma tę drobną jego postać... Dziś złożony już jest w grobie...

Powiecie: „Ha, myśleliśmy, że misjonarze bardziej są zahartowani! Wszak nie rzadkim jest dla nich widok cierpień i śmierci“.

Przyznam Wam rację. Lecz to, co wczoraj widziałem, wstrząsnęło mną tak dogłębnie, jak nic jeszcze w życiu, a jednak wstrząsów nie mało przeżyłem: Brałem udział w wojnie nad Iserą... a potem musiałem pożegnać rodzinę, opuścić ukochaną Ojczyznę... Powtarzam, wstrząs wczorajszy nie miał równego w mym życiu! — Ale posłuchajcie tylko całej historii do końca: Molumbe, był to mój mały ministrant, ministrant, jakich mało! Choćby mi i najwcześniej wypadło odprawić Mszę św. Molumbe był zawsze na swym posterunku. Gdy wchodziłem do zakrystii, już go dostrzegałem w kąciku, ubranego w czerwoną sutannę i komeżkę. Czekał na mnie. Żaden z jego kolegów nie umiał tak dobrze, jak on modlitw liturgicznych. Molumbe nauczył się nie tylko odpowiedzi, które akolita znać winien — umiał na pamięć większość tekstów mszalnych i to po łacinie! Widzę go jeszcze klęczącego u stóp ołtarza z mszalikiem w ręku, to spoglądał w książkę, to śledził z natężoną uwagą ceremonię Mszy św. i każdy gest kapłana.

Dzwonić przy ołtarzu małym dzwoneczkiem... Ach, było to jego rozkoszą!... Na „Sanctus“ wydzwaniał z takim ferworem, jak gdyby całą wioskę chciał zwołać na podniesienie! Musiałem nawet nieco powściągać ten jego zapał w dzwonieniu. Podczas Mszy św. przejęcie i uszanowanie jego dla wielkości św. Tajemnic były bez zarzutu. Gdy służył z drugim ministrantem, wnet udzielał swemu koledze coś ze swego skupienia i poważnej postawy. Dnia jednego podsłuchałem, jak w zakrystii ostro upominał towarzysza, grożąc, że go oskarży przed „ojcem“, jeśliby raz jeszcze śmiał odwracać głowę od ołtarza w czasie sprawowania Mszy św. „Msza — tak prawił — jest rzeczą zbyt ważną, czy rozumiesz?!“ To dziecko 12-letnie nie tylko umiało swój katechizm, ale go rozumiało i przeżywało. Służąc do Mszy wiedział, że Ofiara Kalwaryjska odnawia się przed jego oczyma. — Wiedział, że Jezus sam był tu rzeczywiście obecny.

Co w gruncie rzeczy było przyczyną, dla której Molumbe tak bardzo ukochał służenie przy ołtarzu? Czy może wabiła go ta czerwona sutanna, albo śliczna biała komeżka? — Być może, że i to go pociągało poniekąd, lecz mogę twierdzić, że to dziecko wprost przeżywało te św. Tajemnice, przejmując się głęboko wszystkim, co się odnosiło do kultu Bożego. Poza kościołem był łobuzem. Całym zapałem oddawał się sportom. Celował w łapaniu ptaszków, w łowieniu ryb etc. Uczęszczał wprawdzie do szkoły, ale nie było to zanadto w jego guście. Nieraz tam coś zbroił. Na przykład, raz, przez kilka dni, w czasie lekcji, szkicował sobie jakiś „portret“, rzekomą moją podobiznę... Myślę nawet, że gdyby nie pogróżka, że jeśli nie będzie się dobrze sprawować, to mu zabronię służenia do Mszy św., to by chętnie, zamiast siedzieć na szkolnej ławce, wyślizgiwał się do lasu, aby tam, na swobodzie, hasać z kolegami. — W jego umysłowości wszystko, co istnieje, podzielone było na dwie kategorie: Z jednej stro-

ny, jak mawiał, „sprawy Kościoła“, z drugiej wszystko inne — a zatem: szkoła, praca, zabawy, wycieczki etc. Lecz ta druga kategoria była dla niego o wiele mniej doniosła, niż pierwsza, całkowicie pierwszej podporządkowana. Naprawdę, to dziecko było kwiatem, pięknym, dziko rosnącym kwiatem czarnego kontynentu! Lecz niestety, robak śmierci już z cicha podgryzał włókna żywotne jego łodyżki. Nie przypuszczaliśmy tego. Dopiero na jakie dwa miesiące przed Wielkanocą spostrzegłem się, że Molumbe musi być chory. Choć w dalszym ciągu co dzień punktualnie na godzinę 5-tą stawiał się z rana w zakrystii i z tą samą pobożnością służył mi do Mszy św., jednakże wyraz jego oczu, pełen smutku i zamyślenia zdradzał, że coś w nim nurtuje. Zaczynał się niepokoić. Chwilami widoczne było, że cierpi. Rysy twarzy nieraz się ściągały, jak przy bardzo silnym bólu głowy. Na „Sanctus“ dzwonienie stawało się bezsilne i... rzecz niebywała, na moje wezwanie „Dominus vobiscum“ zwlekał z odpowiedzią.

To śpiączka — mówili jedni. Nie, to choroba dziedziczna — twierdzili drudzy. Cóż by to było? Z każdym dniem słabł coraz bardziej. — Minęły Święta Wielkanocne, zbliżało się Wniebowstąpienie. W ostatnich dniach, podczas Mszy św. kilkakrotnie całkiem pominął przepisane odpowiedzi z ministrantury. Raz zamiast „Et cum spiritu tuo“, mruknął: „Deo gratias“. Innym razem zamiast wina, nalał mi wody do kielicha.

Po Mszy zawezwałem go do mego pokoju. Przyszedł. Wyraz niewypowiedzianego smutku malował się na jego twarzy.

„Honoracie“ — odezwałem się, było to jego imię chrzestne — jeśli się czujesz chorym, to trzeba się do tego przyznać. Wszakże już ci doradzałem, abyś się tak wcześnie nie zrywał do służenia do Mszy. Zaniechaj tego, musisz koniecznie wypocząć“.

Nic na to nie odpowiedział, ale dwie duże łzy sperliły się na jego policzkach. — Wreszcie przemówił:

„Masz słuszność, Ojcze, sam to czuję... już... już nie idzie!... Nie będę mógł iść do szkoły łacińskiej do „Nouvelle Anvers“... i rozpłakał się na dobre.

Biedne, kochane dziecko!... zdradziło się przede mną ze swym pragnieniem, tak głęboko w sercu ukrytym. Mój mały ministrant chciał zostać kapłanem!... Słyszał o czarnych kapłanach. Marzeniem jego było odprawiać też kiedyś Mszę św. — Za mały był, by wstąpić do seminarium, więc dlatego uczył się na pamięć wszystkich tekstów łacińskich, napotkanych w swej książce do pacierza. A teraz... teraz pierzchły wszystkie jego plany i marzenia i słowa moje przekreśliły do reszty ostatnie nadzieje jego zbolałego serca. Jakże dogłębnie odczuć je musiał!

Starałem się go pocieszyć: „Nie trap się mój mały, przecież masz tylko 12 lat. Będziemy mieli jeszcze dość czasu, aby pomyśleć o twoich planach. na razie trzeba się leczyć. Idź do Sióstr one ci udzielą pomocy lekarskiej. Powiedz mi, chłopcze, co cię boli?“

Widocznie słowa mu zamierały. Ruchem ręki wskazał tylko na głowę i na okolicę serca. — „Ufajmy, że to nic poważnego. Potrzeba ci spoczynku. Jak tylko wyzdrowiejesz, będziesz mi znów służył do Mszy św. Na razie postaram się o zastępcę. — Dobrze Ojcze — i odszedł.

Czułem, jaki ból mu zadałem...

Nazajutrz inny ministrant służył mi do mszy. Musiałem ją odprawić jeszcze wcześniej niż zwykle. Było jeszcze całkiem ciemno na dworze. Lampa i 2 świece słabo oświetlały boczny ołtarz, przy którym odprawić miałem Najświętszą Ofiarę. W kościele pustka. Nie mylę się, był przecież ktoś... W półcieniu, przy kolumnie, drobna postać dziecięca trwała na klęczkach. Był to Molumbe! Zawlókł się aż do kościoła, aby wysłuchać Mszy św. tej „jego Mszy“ przy bocznym ołtarzu, przy którym tak często usługiwał. Prawdopodobnie zaznajomił poprzednio swego zastępcę z jego obowiązkami i chciał się teraz sam naocznie przekonać, czy dobrze się z nich wywiązuje. — Po chwili, raz po raz zdawało mi się, że dolatuje mię szmer stłu-

mionego szlochu. Tak, to Molumbe cichutko płakał. Może myślał o tym, że już nie wyzdrowieje — że już nigdy do Mszy św. służyć nie będzie — ach, co najboleśniejsze — że nie zostanie kapłanem!...

Minęło kilka dni. W piątek wieczór przed Zielonymi Świątkami, właśnie ułożyłem się do spania gdy usłyszałem pukanie do drzwi. „Ojcze — odezwał głos od zewnątrz — „Molumbe czuje się źle, prosi o was". Wstałem i udałem się do szałasu dzieci szkolnych. Do tej chwili nie przypuszczałem, by Molumbe już tak bliskim był śmierci. Wtedy przypomniały mi się słowa jednego z uczniów, zwrócone do towarzysza: „Molumbe już do Mszy św. nie służy, on długo żyć nie będzie". Mały chory leżał na macie. Wychudzoną twarzyczkę zabarwiały wypieki gorączki. Cały był rozpalony, oddech krótki, przyspieszony puls ledwo wyczuwalny.

— Jak się masz, mój mały Honoracie?

Podobnie, jak kilka dni temu wskazał na głowę i piersi.

— „Ojcze — wyrzekł wreszcie — zastanawiałem się nad tym i zrozumiałem, że nie powinienbym był marzyć o kapłaństwie, to za piękne dla takiego biednego chorego, jak ja. Już w ostatnich czasach nie umiałem należycie służyć do Mszy. Byłem tak często niedbały, ale nie czyniłem tego umyślnie. Bóg mi tego nie poczyta za złe? Prawda ojcze? Tak mię nieraz bardzo bolało.... tu i tu"...

— „Dziecko kochane, nie myśl o tym. Czyż Bóg nie jest prawdziwym Ojcem, Ojcem kochającym? Ty jesteś teraz chory, bardzo chory. Gdyby tak Jezus chciał przyjść po ciebie i zabrać ciebie z sobą do nieba — czybyś Mu odmówił? — „Oh nie, ale ja źle wypełniałem moje obowiązki, nieraz broiłem. Ojcze, czy chciałbyś wysłuchać mojej spowiedzi?"

I wyspowiadał się. — O nieba! ileż zbudowania odnosi kapłan, słuchając wyznań niektórych dusz! Po spowiedzi słyszałem, jak się modlił w skupieniu: „Mój Jezu, wierzę niezachwianie w Ciebie. Kocham cię i zgadzam się umrzeć dla Twej miłości. Maryjo, jestem Twoim dzieckiem, wspomóż mię". Zamilkł i zdawał się drzemać. Nie miałem sumienia mu przeszkadzać, więc powróciłem do domu. — Nazajutrz, w czasie Mszy św., prosiłem Pana o wiarę i miłość tak żywą, jak u tego biednego murzynka. Następnie zaniosłem mu najświętszy wiatyk. Było to wczoraj, w sobotę. Murzyni i murzynki, zdążające do kościoła, których napotkałem po drodze, klękali i kłaniali się głęboko przed Bogiem, ukrytym na mych piersiach w białej Hostyjce, którąm niósł umierającemu dziecku. Przed szałasem Molumby kilku chłopców zgromadzonych stało u wejścia. Uderzyła mię ich powaga i przejęcie. Najpierw udzieliłem choremu ostatnich Olei św. Błagałem Pana o przebaczenie za wszystkie winy, jakie mógł popełnić nadużyciem swych zmysłów, wzroku, słuchu etc. Następnie podałem mu Komunię św. Molumbe sam odmówił Confiteor. Z jakąż miłością Jezus sakramentalny łączył się z tą duszyczką, tak dobrze przygotowaną!

Po Komunii św. odniosłem puszkę do kościoła i powróciłem do konającego. Trwał w tej samej postawie, w jakiej go pozostawiłem, nieruchomy, oczy zamknięte, uśmiech na ustach. Krople potu rzęsiście spływały po całym ciele, błyszczały na czole, na policzkach i rękach, wargi jedynie lekko się poruszały, jak gdyby się modlił. — Siostra misjonarka (kanoniczka św. Augustyna) przystąpiła do dziecka z lekarstwem w ręku. Dałem jej znak, aby z tym zaczekała, by nie przeszkadzać choremu w dziękczynieniu. Koledzy Molumby otaczali na klęczkach matę, na której spoczywał, modliliśmy się w milczeniu.

Raptem uśmiech znikł z ust Honorata. Twarz jego przybrała wyraz wielkiej powagi. „Tobanda" (zaczynajmy), rzekł słabym głosem i powoli zrobił znak krzyża świętego, po którym wzniósł ręce, naśladując ruch kapłana przy wkładaniu humerału. Oczy pozostawały zamknięte, ale usta wymawiały modlitwy. Następnie gestami oddawał kolejno wszystkie ruchy kapłana ubierającego się do Mszy św. — wkładanie alby, stuły, sznurka etc.

Co znaczyły te ruchy- O czym myślał Malumbe?

Łatwo zgadnąć. Wśród tej halucynacji konania mój mały ministrant zdawał się realizować fikcyjnie najdroższe marzenia swego życia, pieszczone od tak dawna w ukryciu serca. W chwili, gdy miał opuszczać tę ziemię i wnijść do wiecznej radości, czyż w tej szczęśliwej malignie przedśmiertnej nie zdawało mu się, że jest kapłanem?

Oto i znów wznosi uroczyście rękę i kreśli na sobie znak krzyża św — wielki, pełen przejmującej powagi i zaczyna jakby Mszę świętą:

„In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti. Amen. Introibo ad altare Dei". — Nikt z nas się nie poruszył. Chory zatrzymał się chwilkę, nie otworzywszy oczu, zdawał się nadsłuchiwać, po czym wyrzekł te same słowa, które ja często w ostatnich dniach zmuszony byłem mówić do niego w czasie Mszy św., gdy zwlekał z odpowiedzią: „Dalej, odpowiadajże!".

Natychmiast, żeby mu nie sprawić przykrości, siostra zakonna, ja i chłopcy obecni odpowiedzieliśmy chórem: „Ad Deum qui laetificat juventutem meam". Rysy twarzy małego rozjaśniły się. Kontynuował: „Judica me Deus et discerne causam meam" — i tak dalej cały psalm, po nim „Confiteor", „Misereatur, Indulgentiam", wszystko odmówione gładko, wyraźnie, powoli. Machinalnie odpowiadaliśmy mu na każdy werset.

— „Oremus" — wyrzekł rzekomy mały kapłan, rozkładając ręce, a po chwili Kyrie eleison etc. na przemian, znowu gest ręką i Gloria, które przerecytował bez najmniejszej niepoprawności.

„Dominus vobiscum" — Et cum spiritu tuo. „Oremus", ten sam gest rozłożenia rąk i cała oracja o Najświętszym Sakramencie: Deus qui nobis sub Sacramento mirabili... (umiał ją na pamięć). W miejsce Epistoły, Gradułału i Ewangelii nastała długa pauza, po której ruchami rąk wskazywał ofiarowanie pateny z chlebem i kielicha z winem, następnie coś podobnego do ruchu umywania rąk, po czym wyraźnie: Orate Fratres. Wszystkie ceremonie Mszy św. następowały we właściwej sobie kolejności, bez zarzutu (sam się ich nauczył śledząc pilnie moje ruchy przy ołtarzu).

Pot coraz obfitszy spływał mu z czoła i rąk. Słabł w oczach. Pomimo to usłyszeliśmy znów: Per omnia saecula saeculorum — Amen — Dominus vobiscum... — Sursum corda i całą prefację: Po Sanctus zamilkł, wargi tylko cokolwiek się poruszały. Po pauzie ponownie rozpoczął: Memento etiam famulorum, famularumque tuarum... a w języku ojczystym kontynuował: „Mój Jezu, polecam Ci ojca Hadriana, ojca Kamila, ojca Józefa, a w szczególności ojca Adolfa (piszącego ten list). Zapłać im za wszystko dobro, jakie nam wyświadczyli. Polecam Ci siostry, takie litościwe, dzieci szkolne, zwłaszcza wszystkich pogan"... Zakonnica, klęcząca przy mnie, tonęła we łzach. I ja płakałem, mimo wysiłków opanowania mego wzruszenia.

Na podniesienie nasz mały ksiądz podniósł tylko cośkolwiek ręce. Nie miał już siły wykonać lepiej tego gestu, ale wyraz przejęcia i czci głębokiej uwydatnił się jeszcze bardziej na jego biednej, wynędzniałej twarzyczce. Ach, jakiż to był wyraz!

•

Oddech Honorata zwalniał w tempie. Przez kilka minut leżał nieruchomo. Po czym wyszeptał ledwie dosłyszalnym tonem „Ojcze nasz" w języku ojczystym i trzykrotne: „Domine non sum dignus" palcami lekko uderzając w piersi. Przy tymże ruchu ręka jego ociężała zsunęła się wzdłuż ciała. Miał jednak jeszcze na tyle sił, a raczej zapewne siłą woli, wzniósł ją aż do ust, by rzekomo złożyć na swych wargach Hostję Przenajświętszą. Była to Komunia — ostatnia jego Komunia na ziemi...

Przyjąwszy Pana mały kapłan złożył ręce na piersiach i pozostał bez ruchu...

Nie potrafię Wam opisać wyrazu szczęścia i tego niebiańskiego uśmiechu, jakie wówczas opromieniły niewinną twarzyczkę naszego Molumbe! Dłu-

go pozostawaliśmy w milczeniu, nieruchomi, czekając końca tej rzewnej sceny. Ale nic już się nie zmieniło. Uśmiech wyrył się na zawsze w jego rysach. — Dotknąłem czoła chłopca — było prawie zimne. Oddech i tętno zanikły...

Mój mały ministrant już nie żył.

Pospieszył do Wiecznej Ojczyzny, by dokończyć tam w górze tę Mszę św., rozpoczętą na ziemi. Dusza jego wpatrywała się już w Piękno Wieczyste, a my tu pozostawaliśmy przy stygnących jego zwłokach, roniąc łzy obfite. Była to sobota, 7 czerwca 1924 roku, wigilia Zielonych Świąt.

•

Wzdłuż drogi z liści palmowych skraplała się ranna rosa. Słońce tropikalne zwycięsko przebijało się przez srebrzystą mgłę nocnych oparów. Przeczekaliśmy do wieczora, by odprowadzić zwłoki Molumbe na miejsce spoczynku. Wszystkie dzieci szkolne brały udział przy ceremonii Libera w kościele, a następnie przy pochodzie pogrzebowym.

Zapewniam Was, nad grobem tego małego 12-letniego murzynka, który żył i umarł zapoznany od wszystkich, łzy szczersze i gorętsze popłynęły, niż nad grobami wielkich tego świata...

Na mogile Molumby posadziliśmy lilie i mały krzyż z jego numerem 392 i napisem:

Honoratus Molumbe obiit 7—6—1924.

Może się zdziwicie tam w Europie, że ciemne, dziewicze lasy afrykańskie wydają takie kwiaty, jak ten, o którym Wam piszę. Przypomnijcie sobie tylko modlitwę naszego Boskiego mistrza:

„Wyznawam Tobie Ojcze, Panie nieba i ziemi żeś te rzeczy zakrył przed mądrymi i roztropnymi, a objawiłeś je maluczkim". (Mat. 11, 25).

Tłum. karm.

MATKA ŚWIĘTEJ Z RÓŻAMI

(Zella Guerin)

I.

Słusznie się utrzymuje, że nagrodą matki, to dobre dzieci. Trzeba tym więcej przyznać słuszność powiedzeniu, że najpiękniejszą nagrodą matki, to ś w i ę t e dziecko. Kiedy mowa o dziecku, które nieomylnym autorytetem Kościoła zostało uznane za święte, słusznie zapytujemy: kto jest jego matką; czy i ona nie była świętą? — Zresztą, znane to zjawisko w historii Kościoła, że święci mieli i święte matki. Święte w dosłownym, w kościelnym znaczeniu.

Dla czcicieli ukochanej świętej naszych czasów, Teresy od Dzieciątka Jezus, zapewne miło będzie poznać życie tej, która dała życie naszej świętej i wychowywała ją — niestety — zaledwie przez cztery i pół lat jej życia. Poznanie życia matki „świętej z różami" nasunie niejedną poważną refleksję matce dzisiejszych czasów lub tym, które przygotowują się do zaszczytu macierzyństwa.

* * *

W parafialnym kościele Saint Denis sur Sarthon, przy szosie z Paryża do Brest, można obecnie zauważyć nad chrzcielnicą statuę św. Teresy od Dzieciątka Jezus z tabliczką i napisem, przypominającym, że właśnie w tej chrzcielnicy — przed stu laty — otrzymała życie ł a s k i ta, która dała życie cielesne małej Tereni z różami.

Zelia Maria Guerin przyszła na świat 23 grudnia 1831 roku. Nazajutrz, w wigilię Bożego Narodzenia, odbył się chrzest jednodniowej Zelii.

Pierwsze 12 lat życia spędza urodziwa młodziutka dziewczynka w rodzinnym domu na wsi. Nie brakowało więc dorastającemu dziewczęciu ni słońca ni zieleni łąk i śpiewu ptasząt. Niestety, Opatrzność Boża dopuściła, że jej młodziutkie i subtelne serduszko pozbawione było ciepła, jakie daje macierzyńska miłość. Piękno natury, ciągłe przeżywanie i obcowanie z nim uczyniło jej młodziutką duszę wrażliwą na najmniejszy przejaw piękna w jakiejkolwiek postaci. Brak wszakże dosytości ciepła matczynego serca uczynił jej duszę melancholijnie smutną, tęskniącą, wpatrzoną w nieskończoność czasu i przestrzeni. Oto słowa naszego dziewczęcia o pierwszej swej młodości: „Moje dzieciństwo i moja młodość smutne były jak całun — pisze w pewnym liście do brata. Bo podczas gdy matka ciebie psuła swymi pieszczotami, dla mnie jak sam wiesz, była bardzo sroga. Ona tak przecież dobra nie umiała jednak mnie pozyskać; stąd też serce moje bardzo wiele cierpiało".

Czemu przypisać, że podobne słowa wyszły spod pióra i z serca tak „mężnej niewiasty"?

Otóż biografowie przypisują to brakowi u matki naszego dziewczęcia zmysłu pedagogicznego w wychowaniu dzieci. Wszak nasza Zelia posiadała niesłychanie wrażliwą duszę i serce. Jej naturalną wrażliwość pogłębiły jeszcze stałe niemal choroby między 7 a 12 rokiem życia. W tych latach nasza Zelia przechodziła męczeństwo migren. Matka Zelii nie znała co to jest tkliwość macierzyńska. — Unikała wszelkich przejawów matczynego uczucia. Przynajmniej względem wrażliwej Zelii. Ten nieco urzędowy stosunek matki do swego dziecka boleśnie jak widzimy — odbił się na psychice dorastającego dziewczątka. Do tego jeszcze trzeba dodać u ojca naszej Zelii usposobienie zgryźliwe, mrukliwe, raczej despotyczne, jakie wyrobił zawód wojskowy i służba w żandarmerii.

Jedyną pociechą i osłodą dla serca Zelii, spragnionego ożywczego ciepła miłości, była tkliwie siostrzana przyjaźń ze starszą siostrą Marią-Ludwiką.

Kiedy Zelia miała 14 lat życa, zdymisjonowany ojciec, kupuje dom w Alençon. Fakt ten był decydującym dla przyszłości życia naszej Zelii. W tym czasie Zelia zostaje oddana na wychowanie jako pensjonarka siostrom Serca Jezusowego, w Alençon.

Tam młoda dorastająca panienka otrzymała nie tylko intelektualne i kulturalne wykształcenie, ale również nabyła głębokiego życia religijnego, które będzie cechowało całe jej przyszłe życie.

Zelia należała do uzdolnionych uczennic. Świadczy o tym choćby ów pogodny urywek jej listu do brata: „Miałam swego czasu pierwszą nagrodę za styl. Na jedenaście wypracowań otrzymałam dziesięć razy najlepszy stopień; w dodatku byłam pierwszą uczennicą w wyższych klasach" Głębokie osobiste przeżycia religijne, wyżej wspomniana przyjaźń ze starszą swą siostrą, która obrała życie zakonne — sprawiły, że i nasza Zelia zdecydowała się obrać klasztor sióstr Miłosierdzia.

Inne jednakże były plany Bożej Opatrzności.

Dziwnym zrządzeniem tejże Opatrzności, Zelia spotyka się ze stanowczą odmową ze strony klasztoru. A nawet z dyskretną zachętą, że inne są drogi jej powołania. Przyszła matka świętej przyjmuje ze spokojem wolę Bożą. Odtąd często już będzie się modliła: „Mój Boże, skoro nie jestem godną być Twoją oblubienicą — jak moja siostra — wstąpię w związek małżeński, ażeby spełnić Twoją wolę. Ale wtedy, Boże mój, daj mi dużo dzieci, i niech one w s z y s t k i e będą T o b i e p o ś w i ę c o n e".

Do małżeństwa chce się przygotować i praktycznie przez zdobycie zawodu. Idąc za swym uzdolnieniem i w kierunku swych zamiłowań, zapisuje się do szkoły koronkarskiej. Tam zdobywa tajemnice subtelnego artyzmu w tej dziedzinie. Zachowane dotychczas koronki, „o lekkości i subtelności pajęczyny", wykonane jej zręcznością i talentem, świadczą dobitnie o wyjątkowych uzdolnieniach Zelii.

Niedługo jednak przed ukończeniem szkoły znalazła się Zelia w przykrej sytuacji. Naturalne jej wdzięki i wyjątkowa szlachetność nie mogły się ukryć. Gdy spostrzegła, że szef, kierownik szkoły, zbytnio i niebezpiecznie interesuje się jej osobą — opuszcza szkołę.

Zelia ucieka się do tego ostatecznego środka, chcąc zdecydowanie uniknąć obustronnego niebezpieczeństwa.

Bezpośrednio po tym wypadku, przenosi się na kursy zawodowe, otwarte w tymże mieście. Przy końcu 1853 r. otrzymuje dyplom „fabrykantki ściegu d'Alençon".

Na tym to właśnie kursie poznaje pannę Zelię współuczestniczka kursu pani Martin. Ona to odkryła piękną i pełną duchowych bogactw duszę Zelii. Nic też dziwnego, że zapragnęła, aby Zelia stała się żoną jej syna, Ludwika, który właśnie kończył 35 rok życia.

Dochodzi do pierwszego spotkania. Pokrewne duchowe serca Zelii i Ludwika zrozumiały się i pokochały. Po trzech miesięcznych zaręczynach zawarli między sobą związek małżeński w dniu 13 lipca 1868 roku.

Na drogę nowego życia ich święty związek błogosławiła, — darzona szczególnie tkliwym nabożeństwem, tak przez Zelię jak i przez Ludwika, Matka Boska Zwycięska, w wspaniałej świętyni Notre Dame.

Zelia przynosi mężowi, ówczesnej wartości 5000 franków posagu i 7000 franków zebranych osobistych oszczędności; Ludwik Martin dołączył 22.000 franków oszczędności oraz całe wyposażenie pracowni zegarmistrzowskiej przy ulicy Pont Neuf i dwie realności.

O. Rudolf k. b.

(Ciąg dalszy nastąpi)



ŻYCIE KATOLICKIE



* Dnia 16 lipca br. odbyło się przeniesienie relikwii św. Szymona Stock z Bordeaux do Ailesford w Anglii. Klasztor ten, prawdopodobne miejsce nadania Szkaplerza przez Najśw. Maryję Pannę świętemu Szymonowi Stock wykupili przed dwu laty Karmelici dawnej Obserwy z rąk prywatnych. — Relikwie przewiózł morzem bp Bordeaux a przejmował na miejscu Generał Kilian Lynch. Na uroczystości był obecny kard. Piazza z zakonu Karmelitów Bosych, premier irlandzki De Valera i ok. 25 tys. pielgrzymów z różnych krajów.

* 28 czerwca i nast. odbył się w Orvieto we Włoszech pierwszy Międzynarodowy Kongres chrześcijańskiego dramatu religijnego. Honorowym prezesem był słynny filolog Vincenzo De Bartolomaeis. Oto główne tematy odczytów i dyskusji: Początki chrześcijańskiego dramatu religijnego. — Pojęcie chrześcijańskiego dramatu religijnego. — Historia chrześcijańskiego dramatu religijnego na Zachodzie. Na końcu odbyły się przedstawienia religijne.



TREŚĆ NUMERU

„POD OPIEKĄ Św. JÓZEFA"

Miesięcznik dla Rodzin Katolickich.

Za pozwoleniem Władzy Duchownej. i Zakonnej. 7646/51

Redaguje Kolegium

Adres Redakcji:

Redakcja „Pod Opieką św. Józefa"
Kraków
ul. Rakowicka 18

Konto:

Wydawnictwo Karmelitów Bosych
Kraków

PKO. Kraków Nr. IV — 842/115

Adres dla spraw prenumeraty:

Państwowe Przedsiębiorstwo Kolportażu
„Ruch" Oddział w Krakowie
ul. Lubicz 42
Konto: Państwowe Przedsiębiorstwo
Kolportażu „Ruch" Kraków
Dział Prenumeraty Pocztowej
Wydawnictwo Religijne i Naukowe
PKO. Kraków Nr IV — 9451/110

Cena pojedynczego numeru 1.50 zł.

KRAKOWSKIE ZAKŁADY GRAFICZNE ZAKŁAD 7 — KRAKÓW

M-2-18588 Druk ukończono 20. IX. 1951. Nakład: 8.000 427